

A.W. TOZER

**RADYKALNY
KRZYŻ**

Radykalny krzyż

Krzyż Chrystusowy jest najbardziej rewolucyjną rzeczą, jaka kiedykolwiek pojawiła się wśród ludzi.

Krzyż z dawnych rzymskich czasów nie znał kompromisu, nie robił nigdy żadnych ustępstw. Zwycięzał we wszystkich sporach, zabijając swojego przeciwnika i zmuszając go do milczenia na zawsze. Nie oszczędził nawet Chrystusa, lecz uśmiercił Go tak samo jak pozostałych. Zawieszono Go na krzyżu żywego, a sześć godzin później, gdy Go zdjęto, był martwy. Taki był krzyż, kiedy pierwszy raz pojawił się w historii chrześcijaństwa.

Po zmartwychwstaniu Chrystusa apostołowie wyszli głosić swoje poselstwo, a tym co głosili, był krzyż. I gdziekolwiek szli w daleki świat, nieśli ten krzyż i towarzyszyła im ta sama rewolucyjna siła. To radykalne poselstwo krzyża przeobraziło Saula z Tarsu i zmieniło go z prześladowcy chrześcijan w człowieka wierzącego i apostoła wiary. Moc krzyża zmieniała złych ludzi w ludzi dobrych. Strząsnęła ona pogańskie wierzenia i przemieniła całkowicie moralność i mentalność zachodniego świata.

Wszystko to uczynił i czynił krzyż tak długo, jak długo pozwalano mu pozostawać tym, czym był pierwotnie krzyżem. Jego moc odeszła, kiedy zamieniono go z narzędzia śmierci w przedmiot dekoracyjny. Kiedy ludzie zrobili z niego symbol, zaczęli wieszać na swoich szyjach jako ozdobę i kreślić przed sobą jego znak jako magiczną ochronę przed złem, stał się w najlepszym wypadku bezsilnym godłem, w najgorszym - prawdziwym fetyszem. Jako taki jest dzisiaj czczony przez miliony tych, którzy nie mają żadnego pojęcia o jego mocy.

Krzyż osiąga swój cel przez zupełne zniszczenie jednego ustalonego wzorca, to jest swojej ofiary, i ustanowienie własnego. Tak dzieje się zawsze. Krzyż zwycięża pokonując swojego przeciwnika i narzucając mu swoją własną wolę. Krzyż zawsze dominuje. Nigdy nie zawiera kompromisów, nigdy nie targuje się ani nie dąży do ugody, nigdy nie ustępuje ani na krok dla spokoju. Krzyż nie dba o pokój, dba tylko o położenie kresu wszelkiemu sprzeciwu, tak szybko, jak tylko to możliwe.

Wiedząc o tym wszystkim doskonale Chrystus powiedział: „Jeśli kto chce pójść za mną, niech się zaprze samego siebie i weźmie krzyż swój i naśladuje mnie”. (Mk. 8, 34). Tak więc krzyż nie tylko spowodował kres życia Chrystusa on jest też kresem pierwszego, starego życia każdego prawdziwego Jego naśladowcy. Niszczy stary wzorzec Adamowy w życiu wierzącego i powoduje jego koniec. Potem zaś Bóg, który wzbudził Chrystusa z martwych, wzbudza tego wierzącego i rozpoczyna się jego nowe życie.

To tylko jest prawdziwym chrześcijaństwem, nic mniej, aczkolwiek zdajemy sobie sprawę z drastycznego zerwania z tą koncepcją przez wielkie rzesze dzisiejszych ewangelicznych chrześcijan. Nie ważymy się jednak osłabiać naszej pozycji. Krzyż stoi wysoko ponad wszelkimi ludzkimi zdaniem i do tego krzyża wszystkie zdania muszą w końcu przyjść po wyrok sądowy. Powierzchowne i ześwieczczałe przywództwo będzie modyfikowało krzyż, aby zadowolić chorujących na żądze rozrywek „świętych”, którzy chcą się bawić nawet wewnątrz miejsca

świętego. Działanie takie jest przywoływaniem duchowej katastrofy i narażaniem się na gniew Baranka, który wystąpi jako lew.

Musimy ustosunkować się do krzyża robiąc jedną z dwóch tylko możliwych rzeczy: albo uciec przed nim, albo umrzeć na nim. A jeśli okażemy się tak nierozważni, aby uciekać, to wiemy, że odrzucamy przez to wiarę naszych ojców i czynimy z chrześcijaństwa coś, czym ono nie jest. Wtedy pozostanie nam tylko pusta gadanina o zbawieniu. Jego moc odejdzie wraz z naszym odejściem od prawdziwego krzyża.

Jeśli okażemy mądrość, to zrobimy tak, jak Jezus: wycierpimy krzyż nie bacząc na jego hańbę, zdążając do radości, jaka widnieje przed nami. Czynić to znaczy oddać wszelkie wzorce naszego życia na zniszczenie i ponowne odbudowanie mocą nowego, nieskończonego życia. I wtedy stwierdzimy, że chodzi o coś więcej niż poezję, więcej niż słodkie pienia i wzniosłe uczucia. Krzyż przeszyje nasze życie w miejscu, gdzie boli to najbardziej, nie oszczędzając ani nas, ani starannie pielęgnowanej opinii o nas samych. Pokona nas i doprowadzi do kresu nasze samolubne życie. Tylko wtedy będziemy mogli powstać z martwych do pełni nowego życia - utwierdzając wzorzec całkowicie nowego istnienia, wolnego i pełnego dobrych uczynków.

Zmieniony stosunek do krzyża, jaki widzimy we współczesnym chrześcijaństwie, nie jest dowodem tego, że Bóg się zmienił albo że Chrystus wniósł jakieś ulgi. Oznacza raczej, że chrześcijaństwo obecnej doby oddaliło się od wzorców Nowego Testamentu. Odeszliśmy już tak daleko, że trzeba będzie nie mniej niż nowej reformacji, aby przywrócić krzyż na jego właściwe miejsce w teologii i życiu Kościoła.

Tragedia zmarnowanej aktywności religijnej

Nie ma prawdopodobnie innej dziedziny działalności ludzkiej, w której byłoby tak wiele marnotrawstwa, jak w dziedzinie religii. Jest zupełnie możliwe zmarnowanie godziny w kościele albo nawet na zgromadzeniu modlitewnym. Popularne napisy „uczęszczaj do kościoła, jaki sobie wybierzesz”, które ostatnio pojawiają się wszędzie, mogą mieć pewne znaczenie gdy chodzi o przypomnienie zmaterializowanemu społeczeństwu, że ten świat to nie wszystko i że są pewne skarby, których nie można kupić za pieniądze. Ale nie wolno nam zapomnieć, że człowiek może uczęszczać do kościoła przez całe życie i nie mieć z tego żadnej korzyści.

W przeciętnym kościele słyszymy powtarzanie tych samych modlitw co niedzieli, rok w rok, przy czym można podejrzewać, że dzieje się tak bez najmniejszego oczekiwania, iż zostaną one wysłuchane. Wydaje się, że wystarcza, iż zostały one wypowiedziane. Utarte frazesy, religijny ton i słowa z pewnym ładunkiem emocjonalnym wywierają swój powierzchowny wpływ, ale uczestnik zgromadzenia nie staje się przez to bliższy Bogu, lepszy moralnie ani pewniejszy zbawienia, niż był przedtem. Jednak przez dwadzieścia lat co niedzieli rano przechodzi przez tę samą rutynę i licząc dwie godziny na drogę z domu, siedzenie na nabożeństwie i drogę powrotną, zmarnuje w tym czasie 170 dwunastogodzinnych dniówek, uprawiając tę bezużyteczną czynność.

Autor listu do Hebrajczyków mówi, że pewni ludzie, wyznający, iż są chrześcijanami, w miarę upływu czasu nie dotarli nigdzie. Mieli wiele okazji, aby wzrastać, lecz nie wyrosli; mieli dosyć czasu, aby dojrzeć, lecz byli ciągle niemowlętami. Dlatego wzywa ich do zaniechania tego bezsensownego religijnego kręcenia się w kółko i do dążenia do doskonałości. (Hebr. 5, 11 - 6, 3)

Jest możliwym poruszanie się bez posuwania się naprzód, i to właśnie jest cechą dużej części dzisiejszej aktywności wśród chrześcijan. Jest to po prostu ruch jałowy.

W Bogu jest ruch, ale nigdy ruch zmarnowany. Bóg działa zawsze dla osiągnięcia z góry ustalonego celu. Będąc stworzeni na Jego podobieństwo, jesteśmy z natury ukształtowani w ten sposób, że nasze istnienie jest usprawiedliwione tylko wtedy, jeśli pracujemy z określonym zamiarem. Aktywność bezcelowa to coś poniżej wartości i godności istoty ludzkiej. Działanie nie dające postępu w kierunku określonego celu jest zmarnowane, a jednak większość chrześcijan nie ma jasnego celu, do którego zmierzałyby ich wysiłki. W niekończącym się kołowrocie kontynuują marnowanie czasu i energii, których, Bóg wie, nigdy nie mieli za dużo, a z godziny na godzinę mają coraz mniej. To jest tragedia godna umysłu Ajschylosa albo Dantego.

Podłożem tego tragicznego marnotrawstwa bywa zazwyczaj jedna z następujących przyczyn: Chrześcijanin bądź jest nieświadomy Pism, niewierzący, albo nieposłuszny.

Myślę, że większość chrześcijan to po prostu ludzie nie należycie pouczeni. Namówiono ich, aby weszli do Królestwa, kiedy byli tylko na wpół gotowi. Każdemu człowiekowi, nawróconemu w ostatnich trzydziestu latach, prawie na pewno powiedziano, że powinien tylko przyjąć Jezusa, jako osobistego Zbawiciela, i wszystko będzie w porządku. Być może, że niektórzy z

doradców duchowych dodali jeszcze, że posiada on teraz życie wieczne i że z całą pewnością pójdzie do nieba, kiedy umrze, o ile Pan nie powróci i nie zabierze go stąd w triumfie, zanim nadejdzie ten nieprzyjemny moment śmierci.

Po tym pośpiesznym wejściu do Królestwa zazwyczaj nie mówi się już wiele. Nowo nawrócony znajduje się jakby w posiadaniu młota i piły, ale nie ma rysunku technicznego. Nie ma najmniejszego pojęcia, co powinien budować i dlatego wdraża się w nudną rutynę polerowania swoich narzędzi raz na tydzień w niedzielę, po czym znowu je odkłada.

Czasem jednak chrześcijanin marnuje swoje wysiłki z powodu niewiary. Być może, wszyscy jesteśmy winni tego w pewnym stopniu. W naszych modlitwach prywatnych i w naszych publicznych zgromadzeniach bez przerwy prosimy Boga o zrobienie rzeczy, które On albo już zrobił, albo nie może zrobić z powodu naszej niewiary. Błagamy Go, aby przemówił, kiedy On już przemówił albo właśnie w tej chwili mówi. Prosimy Go, by przyszedł, kiedy On już jest obecny i czeka, aż Go rozpoznamy. Prosimy Ducha Świętego, by nas napełnił, podczas gdy bez przerwy przeszkadzamy Mu przez nasze wątpliwości.

Oczywiście chrześcijanin nie może spodziewać się manifestacji Boga, jeśli żyje w stanie nieposłuszeństwa. Niech tylko ktoś odmówi usłuchać Boga w jakimś punkcie, niech w uporze swej własnej woli przeciwstawi się jakiemuś przykazaniu Chrystusa, a cała reszta jego aktywności religijnej zostanie zmarnowana. Może chodzić do kościoła przez pięćdziesiąt lat bez żadnego pożytku. Może składać dziesięcinę, nauczać, wygłaszać kazania, śpiewać, pisać, być wydawcą, organizować konferencje biblijne aż do późnej starości, a w końcu nie mieć nic oprócz prochu i popiołu. „Posłuszeństwo jest lepsze niż ofiara”.

Potrzeba mi tylko dodać, że całe to tragiczne marnotrawstwo jest niepotrzebne. Wierzący chrześcijanin spędzi z przyjemnością każdą chwilę w kościele i będzie odnosił z tego korzyści. Pouczony, posłuszny chrześcijanin będzie uległy Bogu jak glina garncarza, a wynikiem tego nie będzie marnotrawstwo, lecz wiekuista chwała.

Utylitarny Chrystus

Nasz Pan z góry przestrzegł nas, że przyjdą fałszywi Chrystusowie. Przeważnie myślimy o nich jako o przychodzących z zewnątrz, ale powinniśmy pamiętać, że mogą tacy powstać także i w samej świątyni.

Musimy być szczególnie ostrożni w sprawdzaniu, czy Chrystus, o którym wyznajemy, że chcemy Go naśladować, jest rzeczywiście Chrystusem Bożym. Zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że będziemy naśladować Chrystusa, który nie jest prawdziwym Chrystusem, lecz produktem naszej wyobraźni, utworzonym według naszego własnego obrazu.

Muszę się przyznać do uczucia zakłopotania pod tym względem, kiedy obserwuję te wątpliwe rzeczy, które rzekomo czyni Chrystus dla ludzi w obecnym czasie. Często się Go poleca jako wspaniałe usłużnego i niezbyt wymagającego Wielkiego Brata, który z przyjemnością pomaga nam w osiąganiu naszych celów, mając w dodatku tę korzystną cechę, że unika stawiania jakichkolwiek kłopotliwych pytań, dotyczących moralnej czy duchowej jakości tych celów.

W naszym zapale prowadzenia ludzi do „przyjęcia Chrystusa” często ulegamy pokusie oferowania ludziom Chrystusa, który jest zaledwie karykaturą tej świętej Osoby, która poczęła się z Ducha Świętego, urodziła się z dziewicy Marii, została ukrzyżowana i wstała z martwych trzeciego dnia, aby zająć swoje miejsce po prawicy majestatu na niebiosach.

W ciągu ostatnich kilku lat, dla przykładu, Chrystus został spopularyzowany przez pewnych tak zwanych chrześcijan ewangelicznych jako ktoś, gotowy dzięki odpowiedniej ilości modlitwy pomóc jednemu bokserowi w znokautowaniu w ringu innego boksera przez zadanie mu ciosów do nieprzytomności. Chrystus również rzekomo pomaga ligowym zawodnikom piłki nożnej podczas decydujących momentów meczu. Kiedy indziej pomaga atlecie wygrać w skoku o tyczce, a w jeszcze innym przypadku nawet ustanowić nowy rekord dla danej dyscypliny. Podobno pomaga też modlącemu się biznesmenowi dokonać korzystnej transakcji handlowej, zmusić konkurencję do bankructwa czy wygrać korzystny przetarg na niekorzyść innych, ubiegających się o to. Nawet rzekomo wspiera on modlącą się aktorkę filmową w odtwarzaniu roli tak zmysłowej, że na jej widok czerwienić się musi nawet zawodowa prostytutka.

W taki sposób nasz Pan staje się Chrystusem przynoszącym różnorakie korzyści, czymś w rodzaju czarodziejskiej lampy Aladyna, gotowym do czynienia drobnych cudów na usługi tych wszystkich, którzy przywołują Go dla spełnienia swoich poleceń.

Widocznie nikt nie zastanawia się, że gdyby Chrystus wszedł na ring, aby użyć swej boskiej mocy na korzyść jednego zawodnika przeciwko drugiemu, zakłóciłby drastycznie ich szansę, gwałcąc wszelkie powszechne zasady uczciwej gry. Gdyby pomagał On jednemu biznesmenowi z szkodą innego, byłby stronnicy, objawiając charakter całkowicie niezgodny z biblijnym obrazem prawdziwego Chrystusa. Ponadto mielibyśmy groteskową sytuację Pana Chwały, śpieszącego z pomocą nieprzeobrażonemu Adamowi na warunkach, podyktowanych przez tego Adama.

Wszystko to jest zbyt okropne, by się nad tym zastanawiać i mam nadzieję, że ci, którzy podsuwają tego nowoczesnego, wygodnego Chrystusa, nie zdają sobie sprawy z konsekwencji ich tandetnej doktryny. Ale być może oni zdają sobie sprawę, a jednak gotowi są oferować takiego utylitarneho Chrystusa jako Zbawiciela ludzkości. Jeśli tak, znaczy to, że nie wierzą już ani w boskość, ani w panowanie Chrystusa w żadnej sensownej definicji tych słów. Posiadają oni Chrystusa cielesnych wygód, niezbyt różniącego się od bóstw pogaństwa.

Właściwym celem Bożym w odkupieniu jest uczynienie nas świętymi i przekształcenie nas z powrotem według obrazu Bożego. Aby to osiągnąć, On odwraca nas od ziemskich ambicji i od tych wszystkich tanich i niegodziwych wartości, do których ludzie świeccy przywiązują swoje serca. Święty człowiek nie myśli nawet, by prosić Boga o pomoc w pokonaniu przeciwnika lub w rozgrywce z konkurentem. Nie zechce on odnosić sukcesów kosztem niepowodzeń innych ludzi. Nikt, w kim mieszka Duch, nie będzie prosił Pana o pomoc w pobiciu innego człowieka do nieprzytomności dla brudnego zysku lub dla poklasku wulgarnej publiczności.

Jozue staczający walki Pańskie, Dawid ratujący lud Boży z rąk Filistynów, Washington błagający Boga o pomoc przeciwko wrogowi, chcącemu zniewolić młodą Amerykę - to przykłady poszukiwania Bożej ingerencji na wysokim poziomie moralnych i duchowych zasad i w zgodności z Bożymi celami w historii ludzkości. Lecz nauczanie, że Chrystus zechce używać swojej świętej mocy dla osiągnięcia naszych nieświętych interesów to zniesławianie naszego Pana i szkodzenie naszym własnym duszom.

My, współcześni chrześcijanie ewangeliczni, musimy uczyć się znowu prawd o Bożej suwerenności i panowaniu Chrystusa. Bóg nie będzie zabawiał się ze starym Adamem, Chrystus nie da się wykorzystywać dla żadnych jego samolubnych poczynań. Raczej nauczmy się tego czym prędzej, aby naszej generacji młodych chrześcijan zaoszczędzić tragedii naśladowania Chrystusa, który jest zaledwie Chrystusem wygodnictwa, a wcale nie jest rzeczywistym Panem Chwały.

Wielkie bożyszczcze - rozrywka

Pewien niemiecki filozof powiedział przed wielu laty coś w tym sensie, że im więcej ma człowiek w swoim własnym sercu, tym mniej będzie potrzebował z zewnątrz. Nadmierna potrzeba dostaw z zewnątrz jest dowodem bankructwa wewnętrznego człowieka.

Jeśli jest to prawda (a ja wierzę, że tak), to obecna gonitwa za wszelkimi formami rozrywki świadczy o tym, że wewnętrzne życie współczesnego człowieka znajduje się w poważnym upadku. Przeciętny człowiek nie ma centralnego ośrodka stabilności moralnej ani źródła w swojej piersi, ani też wewnętrznej siły, która byłaby zdolna podnosić go ponad potrzebę coraz to nowych zastrzyków psychologicznych, dających mu otuchę do dalszego życia. Stał się on pasożytem świata, czerpiącym swoje życie z otoczenia, niezdolnym przeżyć ani jednego dnia bez stymulacji, jaką daje mu społeczeństwo.

Schleiermacher utrzymywał, że u podłoża wszelkiego kultu religijnego leży uczucie uzależnienia i że jakkolwiek wysoko wzbiją się życie duchowe, ono zawsze musi rozpocząć się od głębokiej świadomości wielkiej potrzeby, którą jedynie Bóg może zaspokoić. Jeśli ta świadomość potrzeby i uczucie uzależnienia jest korzeniem naturalnej religii, to nietrudno zrozumieć, dlaczego tak wielu ludzi tak gorliwie czci to wielkie bóstwo rozrywki. Są bowiem miliony, które nie potrafią żyć bez doznawania najróżniejszych przyjemności. Życie bez jakiejś formy rozrywki jest dla nich po prostu nie do zniesienia. Wyglądają błogie ulgi, dostarczanej im przez zawodowych zabawiaczy i inne formy narkotyków psychologicznych, tak jak narkoman oczekuje na swój codzienny zastrzyk heroiny. Bez tego nie mogą zdobyć się na odwagę egzystencji.

Nikt mający normalne ludzkie uczucia, nie będzie sprzeciwiał się prostym przyjemnościom życia ani takim nieszkodliwym formom rozrywki, które mogą być pomocne dla odprężenia nerwów czy odświeżenia umysłu, wyczerpanego wytężoną pracą. Takie rzeczy, użyte z rozwagą, mogą okazać się pożyteczne. To jest jedna sprawa. Ale powszechne oddanie się przyjemnościom jako głównemu zajęciu, dla którego i dzięki któremu ludzie żyją, to zdecydowanie coś zupełnie innego.

Nadużycie niewinnej rzeczy stanowi istotę grzechu. Przerost elementu przyjemności w życiu ludzkim do takich fantastycznych rozmiarów jest czymś złowieszczym, zagrożeniem dla dusz współczesnych ludzi. Rozwinęło się to w hałaśliwy przemysł rozrywkowy, kosztujący wiele milionów dolarów, posiadający większą władzę nad umysłami ludzkimi i większy wpływ na charaktery ludzkie, niż jakkolwiek inny czynnik wychowawczy. A szczególnie groźne jest to, że władza ta jest prawie wyłącznie zła, niszcząca życie wewnętrzne, odrzucająca myśli o wieczności, które wypełniałyby dusze ludzkie, gdyby tylko zechcieli dać im u siebie miejsce. I wszystko to urosło do rozmiarów istnej religii, która utrzymuje swoich wyznawców w stanie dziwnej fascynacji, i to religii, przeciwko której mówić okazuje się być rzeczą niebezpieczną.

Przez całe wieki Kościół stał mocno przeciwko wszelkim formom świeckich rozrywek, uznając je za to, czym one są: środkami marnotrawienia czasu, ucieczką przed niepokojącym głosem sumienia, sposobem odwracania uwagi od odpowiedzialności moralnej. Z tego powodu był on

mocno atakowany przez synów tego świata. Ale ostatnio znudziło mu się znoszenie tych ataków i zaniechał walki. Wydaje się, jak gdyby doszedł on do przekonania, że skoro nie może zwyciężyć to wielkie bożyszczcze rozrywki, lepiej będzie połączyć z nim swoje siły i skorzystać, na ile się da, z jego potęgi.

Na skutek tego jesteśmy dzisiaj świadkami zdumiewającego spektaklu, kiedy miliony dolarów wydawane są na pospolity cel dostarczania ziemskich rozrywek tak zwanym synom nieba. Na wielu miejscach rozrywki religijne wypierają poważne sprawy związane z Bogiem. Wiele kościołów w naszych czasach zamieniło się w niewiele więcej niż nędzne teatryki, gdzie niskiej klasy „wykonawcy” prezentują swoje tandetne sztuczki z pełną akceptacją przywódców ewangelicznych, którzy nawet potrafią zacytować święty tekst w obronie swoich przestępczych poczynań. A przy tym prawie nikt nie odważy się podnieść przeciw temu swojego głosu.

To wielkie bóstwo rozrywki zabawia swoich wielbicieli przeważnie opowiadaniem historyjek. Umiłowanie opowiastek, które jest charakterystyczne dla wieku dziecięcego, mocno zakorzeniło się w umysłach niedorozwiniętych świętych naszych dni. Tak mocno, że niemało przedsiębiorczych osób urządziło sobie wygodne życie, snując bajdurki i podając je w najróżniejszym przybraniu zborownikom. To, co jest naturalne, a nawet piękne u dziecka, może być wstrząsające, jeśli utrzymuje się aż do wieku dojrzałości, tym bardziej, gdy dzieje się to w miejscu świętym i próbuje uchodzić za prawdziwą pobożność.

Czy to nie jest dziwne i zdumiewające, że w cieniu groźby zniszczenia atomowego, wiszącej nad światem, i w obliczu rychłego przyjścia Chrystusa ci, którzy podają się za naśladowców Pana, oddają się zapamiętałe religijnym zabawom? Czyż w tym czasie, kiedy tak rozpaczliwie potrzeba dojrzałych świętych, liczne rzesze wierzących mają powracać do duchowego dzieciństwa i krzykiem domagać się zabawek religijnych?

„Wspomnij, Panie, na to, co się z nami stało! Spójrz i przypatrz się naszej zniewadze... Spadła korona z naszej głowy, biada nam, bo zgrzeszyliśmy! Dlatego chore jest nasze serce, dlatego zaćmione są nasze oczy.” (Treny Jer. 5, 1. 16. 17) Amen, amen.

Zachłanność puszczy

„Człowiek został stworzony, aby żyć w sadzie” - mówi dr Harold C. Mason - „lecz na skutek grzechu został zmuszony do życia na polu, które wydarł swoim wrogom w pocie i łzach, i które utrzymuje w swoim posiadaniu tylko kosztem nieustannej czujności i nie kończącego się wysiłku. Gdyby zaledwie przez kilka lat zaniechał swoich starań, puszcza na nowo wkroczyłaby, aby opanować jego pole. Dżungla i lasy pochłonęłyby jego pracę i cała jego troskliwa opieka poszłaby na marne”.

Każdy rolnik zna zachłanność puszczy, której nie da się zniszczyć ani przy pomocy nowoczesnej techniki, ani przez udoskonalenie metod uprawy. Bez względu na to, jak starannie przygotować glebę, w jak doskonałym stanie pozostawić płoty, jak dokładnie zakonserwować budynki, niech tylko właściciel zaniedba przez jakiś czas swoją cenną posiadłość, a zaraz zacznie ona wracać do dziczy, pochłaniana stopniowo przez dżunglę lub pustynię. Pozostawiona sama sobie przyroda zawsze stacza się samoczynnie w kierunku puszczy, nigdy w kierunku przynoszącego plony pola. O tym, powtarzam, wie każdy rolnik.

Dla czujnego chrześcijanina fakt ten będzie czymś więcej niż obserwacją dotyczącą rolników. Będzie on podobieństwem, lekcją przykładową, wskazującą na istnienie ogólnego prawa, rządzącego wszystkimi dziedzinami życia w naszym upadłym świecie, któremu podlegają zarówno rzeczy materialne, jak i rzeczy duchowe. Nie możemy wydostać się spod działania tego prawa, które powoduje, że wszystkie rzeczy pozostają dzikimi i wracają do stanu dzikości, jak tylko ustaje praca ich kultywacji. To, co jest prawdziwe w odniesieniu do pola, jest też prawdziwe w odniesieniu do duszy. Obyśmy byli wystarczająco mądrzy, aby to zobaczyć!

Upadły świat nie ma skłonności staczania się w stronę pobożności, lecz zdecydowanie w stronę przeciwną. „Czy ten podły świat sprzyja łasce” - pyta poeta retorycznie - „by pomóc mi wzbici się do Boga?” Smutna odpowiedź brzmi: „nie” i zrobimy dobrze, jeśli dopilnujemy, aby każdy nowy chrześcijanin nauczył się tej lekcji jak najprędzej po swoim nawróceniu. Czasem robimy wrażenie, jak gdyby było możliwe zdobycie przy ołtarzu modlitwy raz na zawsze czystości serca i siły, zapewniającej zwycięstwo na całą resztę naszego życia. Jak błędne jest takie przekonanie dowodzi niezliczona ilość chrześcijan na przestrzeni wieków.

Prawdą jest, że żadne przeżycie duchowe, jakkolwiek byłoby ono rewolucyjne, nie uchroni nas od pokus, a czymże są pokusy, jak nie usiłowaniem dżungli wdarcia się z powrotem na świeżo wykarczowane pole? Oczyszczone serce jest czymś nie do zniesienia dla diabła i wszystkich sił zgubionego świata. Nie spoczną one, dopóki nie odzyskają z powrotem tego, co utraciły. Dżungla będzie chciała wkroczyć i pochłoniąć te niewielkie obszary, które zostały wyzwolone przez moc Ducha Świętego. Tylko nieprzerwana czujność i wytrwała modlitwa mogą uchronić przed zniszczeniem te moralne zdobycze, uzyskane dzięki działaniu Bożej łaski.

W zaniedbanym sercu wkrótce zaczną grasować świeckie myśli; zaniedbane życie wkrótce pogrzeże się w moralnym chaosie; zaniedbany zbór, nie chroniony zazdrośnie przez potężne modlitwy wstawiennicze i ofiarną pracę, w niedługim czasie stanie się siedliskiem wszelkiego

ptactwa nieczystego i wstrętnego, schronieniem nieoczekiwanego zepsucia. Pełzająca puszcza wkrótce opanuje zbór, polegający na własnej sile i zapominający czuwać i modlić się.

To prawo dżungli działa powszechnie w naszym upadłym świecie, zarówno na polach misyjnych, jak i w krajach bardziej cywilizowanych. Dlatego błędne jest przekonanie, że możemy spełnić nasz obowiązek misyjny przez to, że przejdziemy przez jeden kraj za drugim, głosząc ewangelię, bez podtrzymywania osiągniętych wyników przez gruntowne nauczanie i bez wytrwałego budowania zborów. Niestety, błąd ten jest szeroko rozpowszechniony w kościołach ewangelicznych, powodując, że wielu szczerych pracowników usiłuje zakończyć ewangelizację świata w ten powierzchowny sposób.

Doprowadzenie do nawrócenia kilku osób po to tylko, aby pozostawić ich własnemu losowi bez odpowiedniej opieki jest równie nierozsądne, jak pozostawienie stadka małych jagniąt w głębi dzikiej puszczy; jest to tak absurdalne, jak wykarczowanie i obsianie kawałka pola w środku lasu i pozostawienie go na łaskę i niełaskę niegościnniej przyrody. Wszystko to byłoby daremnym trudem i nie mogłoby dać rzeczywistych korzyści.

Podobnie jest z każdym wysiłkiem duchowym, który nie uwzględnia zachłanności puszczy. Jagnięta należy koniecznie otoczyć opieką pasterską, gdyż w przeciwnym razie poginą; pole musi być uprawiane, w przeciwnym razie zmarnieje, duchowych zdobyczy koniecznie trzeba strzec przez czujność i modlitwę, w przeciwnym razie padną ofiarą nieprzyjaciela.

Stary a nowy krzyż

Bez wszelkich zapowiedzi i przeważnie niepostrzeżenie do popularnych kręgów ewangelicznych wszedł w naszych czasach nowy krzyż. Jest podobny do starego krzyża, lecz różni się od niego. Podobieństwa są powierzchowne, różnice- fundamentalne.

Z tego nowego krzyża zaskoczyła nas nowa filozofia życia chrześcijańskiego, a z tej nowej filozofii przyszła nowa technika ewangeliczna: nowy typ spotkań i nowy rodzaj zwiastowania. Ten nowy rodzaj ewangelizacji używa tego samego języka co stary, ale jego treść nie jest taka sama i jego akcenty nie są takie, jak poprzednio.

Stary krzyż nie miał nic wspólnego ze światem. Dla butnego Adama oznaczał on koniec drogi. Na nim wykonywał się wyrok wynikający z prawa góry Synaj. Nowy krzyż nie przeciwstawia się rodzajowi ludzkiemu. Jest to raczej przyjaźnie nastawiony kumpel i jeśli rozumieć go właściwie, to jest on źródłem całych oceanów dobrej, czystej uciechy i niewinnych przyjemności. Pozwala on Adamowi żyć bez przeszkód. Jego motywacja życiowa pozostaje niezmienną. Żyje on w dalszym ciągu dla swoich własnych przyjemności, z tym tylko, że zamiast śpiewać sprośne piosenki i pić wysokoprocentowy alkohol, ma teraz upodobanie w śpiewaniu refrenów i oglądaniu filmów chrześcijańskich. Akcent kładzie się ciągle na przyjemności, chociaż zabawy są teraz na wyższym poziomie moralnym, jeśli nie intelektualnym.

Ów nowy krzyż zachęca do nowego, całkiem różnego podejścia do ewangelizacji. Ewangelista nie żąda wyrzeczenia się starego życia, zanim będzie mogło zostać przyjęte życie nowe. Nie zwiastuje on kontrastów, lecz podobieństwa. Stara się przyciągnąć zainteresowanie publiczności przez pokazanie, że chrześcijaństwo nie stawia żadnych nieprzyjemnych żądań, lecz że oferuje to samo, co świat, tylko na wyższym poziomie. Czegokolwiek domaga się hałaśliwie w danym czasie pogrążony w obłądnie grzechu świat, pokazane zostaje przebiegle jako właśnie ta rzecz, którą oferuje ewangelia, tylko że ten produkt religijny jest lepszy.

Nowy krzyż nie zabija grzesznika, tylko zmienia jego orientację. Naprowadza go na czystszy i weselszy sposób życia, zachowując jego miłość do samego siebie. Do wojowniczego mówi: „Chodź i walcz dla Chrystusa.” Wyniosłemu powiada: „Przyjdź i chlub się w Panu.” Żądnemu rozkoszy proponuje: „Przyjdź i rozkoszuj się wspólnotą chrześcijańską.” Poselstwo ewangelii naginane jest do aktualnie panującej mody, aby uczynić je atrakcyjne dla publiczności. Filozofia ukryta za tą rzeczą może być szczerą, ale jej szczerłość nie zapobiega temu, że jest ona fałszywa. Jest fałszywa, ponieważ jest ślepa. Gubi ona zupełnie całe znaczenie krzyża.

Stary krzyż jest symbolem śmierci. Jego zadaniem jest spowodować nagły, gwałtowny koniec istoty ludzkiej. W czasach rzymskich człowiek biorący krzyż i ruszający w drogę, rozstawał się z wszystkim na zawsze. Dla niego nie było powrotu. Wychodził naprzeciw swojego kresu. Krzyż nie dopuszczał do żadnych kompromisów, niczego nie modyfikował, niczego nie oszczędzał. Uśmiercał tego człowieka całkowicie i na zawsze. Nie próbował być w dobrych stosunkach ze swoją ofiarą. Działał twardo i okrutnie, a kiedy skończył swoją robotę, człowieka już nie było.

Ród Adama znajduje się pod wyrokiem śmierci. Nie ma żadnych ulg ani żadnego wyjścia. Bóg nie może zaakceptować żadnego z owoców grzechu, bez względu na to jak niewinnie i jak pięknie wyglądałyby one w oczach ludzkich. Bóg ratuje człowieka likwidując go, a następnie wskrzeszając go do nowego życia.

Ewangelia, która przeprowadza przyjazne paralele między drogami Bożymi a drogami ludzkimi, jest fałszywa z punktu widzenia Biblii i zgubna dla dusz tych, którzy jej słuchają. Wiara Chrystusowa nie przebiega równoległe do świata, lecz przecina go. Przychodząc do Chrystusa nie podnosimy swojego starego życia na wyższy poziom, lecz pozbywamy się go na krzyżu. Ziarno pszenicy musi wpaść w glebę i umrzeć.

Głosząc ewangelię nie możemy uważać się za rzeczników pojednania i ustanowienia dobrych stosunków między Chrystusem a światem. Nie wyobrażajmy sobie, że powołani jesteśmy, by uczynić Chrystusa możliwym do przyjęcia przez wielki biznes, środki masowego przekazu, środowiska sportowe lub współczesne szkolnictwo. Nie jesteśmy dyplomatami, lecz prorokami, a treścią naszego poselstwa nie jest kompromis, lecz ultimatum.

Bóg oferuje życie, ale nie poprawione stare życie. Życie, które On oferuje, to życie powstające ze śmierci. Ono znajduje się zawsze po tamtej, przeciwnej stronie krzyża. Ktokolwiek chce je osiągnąć, musi poddać się egzekucji. Musi zaprzeczyć się samego siebie i przyjąć sprawiedliwy Boży wyrok przeciwko sobie.

Co oznacza to dla jednostki, dla potępionego człowieka, który znajduje życie w Chrystusie Jezusie? Jak należy tę teologię przenieść do konkretnego życia? Po prostu, on musi upamiętać się, pokutować i wierzyć. On musi porzucić swój grzech, a potem iść dalej i porzucić samego siebie. Niech on niczego nie przykrywa, niczego nie broni, niczego nie usprawiedliwia. Niech on nie próbuje uzgadniać z Bogiem stosunków, lecz niech schyli swoją głowę przed ciosem Bożego surowego gniewu i uzna samego siebie za godnego śmierci.

Uczyniwszy to niech on spojrzy z prostą ufnością na zmartwychwstałego Zbawiciela, a z Niego spłynie mu życie i nowe narodzenie, oczyszczenie i moc. Krzyż, który położył kres ziemskiego życia Jezusa, kładzie teraz kres życiu grzesznika, zaś moc, która wskrzesiła Chrystusa z martwych, wskrzesza go teraz do nowego życia z Chrystusem.

Każdemu, kto chciałby sprzeciwiać się temu albo uważać to tylko za wąski, prywatny pogląd na prawdę, chcę powiedzieć, że Bóg daje pieczęć Swojej aprobaty na to poselstwo od czasów Pawła aż po dzień dzisiejszy. Czy było ono wyrażane dokładnie tymi słowami, czy też nie, to właśnie ono było istotną treścią wszelkiego zwiastowania, przynoszącego światu poprzez wieki życie i moc. Mistycy, reformatorzy i ewangeliści na to właśnie kładli nacisk, a znaki i cuda, i potężne działania Ducha Świętego świadczyły o Bożej aprobacie.

Czy będąc dziedzicami takiej spuścizny mocy odważymy się zniekształcać prawdę? Czy ośmielimy się naszymi tępychmi ołówkami zmieniać linie w planach albo zacierać wzór, pokazany nam na górze? Niech Bóg broni! Zwiastujmy stary krzyż, a oglądać będziemy starą moc.

O przyjmowaniu napominania

Pewne miejsce w księdze Kaznodziei mówi o starym i głupim królu, który już nie przyjmuje ostrzeżenia (Kazn..4,13).

Nie trudno zrozumieć, dlaczego stary król, zwłaszcza jeśli jest głupi, będzie uważał, że nie podlega napominaniu. Ponieważ przez długie lata przywykł do wydawania rozkazów, może łatwo powstać u niego taka pewność siebie, że nie będzie w stanie pogodzić się z myślą, iż mógłby też przyjąć jakieś wskazówki od innych. Przez długi czas jego zdanie było obowiązującym prawem, toteż to, co słuszne, stało się dla niego równoznaczne z tym, co on chce, zaś to, co złe, zaczęło oznaczać wszystko niezgodne z jego życzeniami. Wkrótce myśl o tym, że ktoś mógłby być na tyle mądry i na tyle dobry, aby móc go upominać, nie jest już w stanie dotrzeć do jego świadomości. Musi to być król głupi, aby dać się złapać w taką sieć, i król stary, aby tkwić w niej tak długo, aż stanie się ona nie do rozerwania, oraz tak długo, aż przestanie być świadomy jej istnienia.

Bez względu na rodzaj procesu, który doprowadził go do stanu takiej zatwardziałości, dzwony wydzwoniły już jego koniec. Pod każdym względem jest on już zgubiony. Jego pomarszczone ciało trzyma się wprawdzie jeszcze cało, ale jest ono tylko czymś w rodzaju ruchomego grobu dla umarłej już duszy. Nadzieja opuściła go już dawno. Bóg pozostawił go w jego fatalnej zarozumiałości. Wkrótce umrze także i fizycznie, a śmierć jego będzie śmiercią głupiego.

Lud izraelski w swojej historii wielokrotnie przyjmował postawę, którą cechowało odrzucanie wszelkich ostrzeżeń, i zawsze okresy takie prowadziły do nieuchronnych sądów. Kiedy Chrystus przyszedł do Żydów, tkwili oni w takiej aroganckiej pewności siebie, uniemożliwiającej przyjęcie strofowania. „Jesteśmy nasieniem Abrahama” - odpowiadali chłodno, kiedy mówił do nich o ich grzechach i potrzebie zbawienia. Zwyczajni ludzie słuchali Go i przeżywali upamiętanie, ale kapłani żydowscy panowali zbyt długo, aby być skłonni do wyrzeczenia się swoich uprzywilejowanych stanowisk. Podobnie jak ten stary król przyzwyczaili się do tego, że słuszność była zawsze po ich stronie. Udzielanie im napomnień było dla nich obrazą. Uważali, że nie podlegają strofowaniu.

Kościół i organizacje chrześcijańskie przejawiają tendencję popadania w ten sam błąd, który był powodem zniszczenia Izraela: niezdolność przyjmowania napomnień. Po okresie wzrostu i owocnej pracy przychodzi ta śmiertelna postawa samozadowolenia. Sam sukces staje się przyczyną późniejszego upadku. Przywódcy dochodzą do tego, że uważają samych siebie za Bożych wybrańców. Uważają się za szczególnie uprzywilejowanych przed Bogiem. Powodzenie swojej pracy uważają za wystarczający dowód, że tak właśnie jest. Stąd wniosek, że z pewnością mają słuszność, toteż każdy, kto usiłuje wezwać ich do zdania rachunku, zostaje natychmiast przekreślony jako niepoważany wścibski, który powinien się wstydić za to, że ośmielił się podnieść głos przeciwko lepszym od siebie.

Jeśli ktoś ma wrażenie, że są to tylko słowa, to niech skontaktuje się z jakimś przypadkowo wybranym przywódcą religijnym i zwróci jego uwagę na słabe punkty i grzechy w jego organizacji. Taki ktoś z pewnością otrzyma szybko kubeł zimnej wody, jeśli zaś odważy się

obstawać przy swoim, zostaną mu przedłożona sprawozdania i statystyki dowodzące, że myli się całkowicie i zajmuje stanowisko nie do utrzymania. „Jesteśmy nasieniem Abrahama” - jest główną tezą obrony. A któż ośmieliłby się widzieć coś niewłaściwego w nasieniu Abrahama?

Ci, którzy już weszli w tę fazę, w której nie są w stanie przyjmować napomnienia, nie odniosą zapewne z niniejszej przestrogi żadnej korzyści. Człowiekowi, który przekroczył już skraj tej przepaści, niewiele da się pomóc. Ale możemy ustawić na tym niebezpiecznym miejscu znaki ostrzegawcze, aby następnych wędrowców powstrzymać od runięcia w tę przepaść. Oto kilka takich wskazówek:

1. Nie brońcie swojego zboru ani swojej organizacji przed krytyką. Jeśli krytyka jest niesłuszna, nie może wyrządzić żadnej szkody. Jeśli natomiast jest słuszna, winniście słuchać jej uważnie i podjąć niezbędne działania.
2. Nie zajmujcie się tym, co już osiągnęliście, lecz tym, co moglibyście osiągnąć, gdybyście naśladowali Pana całkowicie. Lepiej jest mówić (i myśleć): „Sługami nieużytecznymi jesteśmy, bo co winniśmy byli uczynić, uczyniliśmy” (Łuk. 17, 10).
3. Jeśli jesteście strofowani, nie zwracajcie uwagi na źródło, skąd strofowanie pochodzi. Nie pytajcie, czy strofuje was wasz przyjaciel, czy wasz wróg. Strofowanie nieprzyjaciela ma często większą wartość niż strofowanie przyjaciela, ponieważ nie wywierają na nie wpływu względy sympatii.
4. Miejcie serca ciągle otwarte na napominanie Pańskie i bądźcie gotowi przyjąć Jego karcenie bez względu na to, kto trzyma różgę. Wszyscy wielcy ludzie Boży umieli przyjmować uderzenia wielkodusznie i to było zapewne jednym z powodów tego, że byli to wielcy ludzie Boży.

Potrzeba i warunki ożywienia

Gdziekolwiek spotkają się dziś chrześcijanie, z pewnością można usłyszeć jedno, stale powtarzane słowo: ożywienie. W kazaniach, pieśniach i modlitwach wciąż przypominany Panu i sobie nawzajem, że tym, czego potrzebujemy dla rozwiązania naszych wszystkich duchowych problemów, jest „potężne, jak dawniej, ożywienie”. Także prasa religijna w większości doszła do wniosku, że ożywienie jest wielką potrzebą chwili, i ten, kto byłby w stanie przedstawić rozprawę o ożywieniu, może być pewny, że znajdzie wielu wydawców gotowych ją opublikować.

Tak silny jest pęd ku ożywieniu, że nieomal nikt nie ma dosyć odwagi, by się temu oprzeć. Religia, tak jak filozofia, polityka lub kobiece stroje, ma swoje mody. Wiemy z historii, że największe religie świata miały okresy wzlotów i upadków, i wzloty te są wprost nazywane przez kronikarzy ożywieniem.

Nie zapominajmy, iż w wielu krajach islam przeżywa teraz ożywienie, że ostatnie raporty z Japonii donoszą, że po krótkim okresie załamania, który nastąpił po II wojnie światowej, szintoizm przeżywa teraz godny uwagi rozwój. W naszym kraju zarówno wyznanie rzymskokatolickie jak i liberalny protestantyzm rozwijają się w takim tempie, że słowo „ożywienie” jest niemal konieczne, aby oddać istotę zjawiska. Dzieje się to bez widocznego podnoszenia się poziomu moralnego wyznawców.

Religia, nawet popularne chrześcijaństwo, może przeżywać gwałtowny rozwój całkowicie pozbawiony przeobrażającej siły Ducha Świętego, a wówczas pozostawia przyszłemu pokoleniu Kościół gorszy niż byłby, gdyby rozwój ów w ogóle nie miał miejsca. Wierzę, iż konieczną potrzebą dnia dzisiejszego nie jest proste ożywienie, ale radykalna odnowa, która sięgnie korzeni naszych moralnych i duchowych dolegliwości, zajmie się raczej przyczynami niż skutkami, bardziej samą chorobą niż jej symptomami.

Jestem głęboko przekonany, że w obecnych warunkach w ogóle nie chcemy ożywienia. Samo wielkie ożywienie chrześcijaństwa takiego, jakie znamy w Ameryce dzisiaj, mogłoby okazać się moralną tragedią, której odrobić nie można by było nawet w ciągu stulecia.

W przeciągu ostatnich 20 lat miało miejsce zepsucie religijne, trudno porównywalne z czymś od czasu, kiedy Izrael czcił złotego cielca. Można słusznie powiedzieć o nas, chrześcijanach biblijnych, że „usiedliśmy, aby jeść i pić, i wstaliśmy, aby się bawić”. Linia podziału pomiędzy Kościołem a światem została całkowicie zatarta. Oprócz kilku najgrubszych grzechów, grzechy nieodrodzonego świata są teraz tolerowane i gorliwie kopiowane przez zastraszającą liczbę chrześcijan, którzy wyznają, że są narodzeni na nowo. Młodzi chrześcijanie przyjmują jako swoje wzorce ludzi światowych najordynarniejszego rodzaju i usiłują naśladować ich i upodobnić się do nich możliwie dokładnie. Przywódcy religijni przyjęli technikę ekspertów od reklamy. Przechwalanie się, wabienie obietnicami i bezwstydną przesadą są teraz praktykowane jako normalne metody pracy kościelnej. Klimat moralny nie jest klimatem nowotestamentowym, lecz klimatem z Hollywood i z Broadwayu.

Chrześcijanie ewangeliczni w większości już nie inicjują. Oni imitują, a ich modelem jest świat. Święta wiara naszych ojców na wielu miejscach stała się formą rozrywki, zaś przerażającą rzeczą jest to, że masy były tym karmione przede wszystkim od góry.

Nuta protestu, która zabrzmiała na początku Nowego Testamentu, i która zawsze słyszana była najgłośniej wtedy, gdy Kościół był silny i zdrowy, została z powodzeniem zmuszona do milczenia. Element radykalny w świadectwie i w życiu, który dawniej powodował, że chrześcijanie byli znieawidzeni przez świat, został przez współczesne chrześcijaństwo ewangeliczne zagubiony. Chrześcijanie byli kiedyś rewolucjonistami - moralnymi, nie politycznymi - lecz utraciliśmy nasz rewolucyjny charakter. Być chrześcijaninem nie jest już teraz ani niebezpieczne, ani kosztowne. Łaska stała się nie dostępna, lecz tania. Trudzimy się obecnie, aby udowodnić ludziom tego świata, że mogą oni mieć wszystkie dobrodziejstwa ewangelii bez jakichkolwiek nieprzyjemności związanych z naruszeniem ich zwyczajowego sposobu życia. Mówimy jakby: „wszystko możecie mieć, a niebo na dodatek”.

Ten opis współczesnego chrześcijaństwa, chociaż nie dotyczy wszystkich, jest jednak prawdziwy, gdy chodzi o przygniatającą większość dzisiejszych chrześcijan. Z tej przyczyny jest rzeczą bezużyteczną, aby wielkie zgromadzenia wierzących spędzały długie godziny, błagając Boga, aby zesłał ożywienie. Jeśli nie zamierzamy dać się przeobrazić, to możemy równie dobrze przestać się modlić. Jeśli modlący się ludzie nie mają zrozumienia ani wiary, aby zmienić cały sposób życia, by dostosować go do wzorców nowotestamentowych, to nie może być prawdziwego ożywienia.

Ofiara własnych zabiegów

W minionym pokoleniu, jako reakcja na „naukowy krytycyzm” i będący jego wynikiem modernizm, powstał w protestantyzmie potężny ruch w obronie historycznej wiary chrześcijańskiej. Z przyczyn oczywistych był on znany jako fundamentalizm. Ruch ten był raczej spontaniczny, nie ujęty w ramy wielkiej organizacji, lecz jego celem, gdziekolwiek się pojawił, było „zatrzymanie wielkiej wzrastającej fali negacji” w teologii chrześcijańskiej oraz ponowne przedstawienie i obrona podstawowych doktryn chrześcijaństwa Nowego Testamentu. Tyle z historii.

Nie zauważa się na ogół, że fundamentalizm rozprzestrzeniając się wśród różnych sekt i grup wyznaniowych padł ofiarą swoich własnych cnót. Słowo umarło w rękach swych przyjaciół. Inspiracja werbalna na przykład (doktryna, którą zawsze wyznawałem i nadal wyznaję), wkrótce została dotknięta śmiertelną chorobą. Głos proroka został wyciszony, a umysłami wiernych zawładnęli uczeni w Piśmie. Na wielkich obszarach zamarła wyobraźnia religijna. Nieoficjalna hierarchia decydowała w co mają wierzyć chrześcijanie. Nie Pismo Święte, ale poglądy uczonych w Piśmie stały się wyznaniem wierzących. Chrześcijańskie szkoły, seminaria, instytuty i konferencje biblijne, znani komentatorzy Biblii - wszyscy połączyli się, aby uprawiać kult tekstualizmu. (Tekstulizm dosłowne, formalne traktowanie i trzymanie się prawd Słowa bez zwracania uwagi na ich treść zawierającą Ducha i życie, czyli litera a nie Duch - przyp. tłum.) Stworzono skrajny system ułatwień uwalniający chrześcijan od pokuty, posłuszeństwa i niesienia krzyża, tak że został tylko sens formalny. Całe partie Nowego Testamentu były odbierane Kościołowi i usuwane według sztywnego systemu „rozbiegania Słowa prawdy”.

Wszystko to spowodowało w umysłowości religijnej wrogość do prawdziwej wiary Chrystusowej. Coś w rodzaju zimnej mgły osiadło na fundamentalizmie. Pod nią był dobrze znany grunt. Było nim, rzecz jasna, chrześcijaństwo Nowego Testamentu, zawierające podstawowe doktryny Biblii, lecz klimat po prostu nie sprzyjał słodkim owocom Ducha.

Ogólny nastrój był inny od tego, który panował w pierwotnym Kościele i w wiekach późniejszych, kiedy to wielkie dusze cierpiały, śpiewały i uwielbiały Pana. Doktryny były prawidłowe, ale zabrakło w nich życia. Nie pozwolono rozwinąć się życiu tych doktryn. Nad ziemią rzadko dawał się słyszeć głos synogarlicy (gołębia), za to papuga zasiadła na swej sztucznej grzędzie i sumiennie powtarzała to, czego ją nauczono, a wszystko było przesycone posępny i tępy nastrój. Wiara, potężna i ożywcza doktryna w ustach apostołów, stała się w ustach uczonych w Piśmie zupełnie czymś innym, pozbawionym swej siły. Gdy litera zatrumfowała, Duch wycofał się, a wszechwładne panowanie objął tekstualizm.

Dla ścisłości należy dodać, że taka była jedynie ogólna sytuacja. Z całą pewnością, nawet w tych smutnych czasach byli tacy, których tęskniące serca były lepszymi teologami niż ich nauczyciele. Tacy dążyli do pełni i mocy, które nieznanne były całej reszcie. Było ich jednak niewiele, a przeciwności były zbyt silne, by mogli oni rozpędzić mgły unoszące się nad ziemią.

Błąd tekstualizmu nie jest błędem doktrynalnym. Jest on o wiele bardziej podstępny niż błąd doktrynalny, a zarazem trudniejszy do wykrycia, lecz jego skutki są równie śmiertelne. Błędne

były nie przekonania teologiczne, lecz założenia. Zakładał on na przykład, że jeśli mamy nazwę jakiejś rzeczy, to mamy też samą rzecz. Jeżeli mamy doktrynę, to znaczy, że mamy również i przeżycie (doświadczenie). Jeżeli coś było prawdziwe u Pawła, to jest to także koniecznie prawdziwe w nas, ponieważ akceptujemy listy Pawła jako natchnione przez Boga. Na przykład Biblia mówi nam, jak możemy zostać zbawieni, natomiast tekstualizm posuwa się dalej i wmawia nam, że jesteśmy już zbawieni, a do tego stwierdzenia nie jest on uprawniony. (Pewność zbawienia daje tylko Bóg przez Ducha Świętego kierując do nas określony tekst Biblii - przyp. red.). W przeciwnym razie pewność indywidualnego zbawienia jest niczym innym, jak tylko logiczną konkluzją wyprowadzoną z doktrynalnych przesłanek, a wynikające z tego przeżycie ma całkowicie charakter umysłowy.

Kiedy modlitwa jest niewłaściwa?

Modlitwa może być czasami nie tylko bezskuteczna, lecz również niewłaściwa. Oto przykład: Izrael został pokonany pod Aj i „wtedy Jozue rozdarł szaty swoje i padł na ziemię przed Skrzynią Pana i leżał tak aż do wieczora, on i starsi izraelscy, i sypali proch na swoje głowy.” Według naszej współczesnej idei ożywienia było to postępowanie właściwe, i gdyby było kontynuowane wystarczająco długo, z pewnością przekonałoby Boga i przyniosło błogosławieństwo. Ale Pan rzekł do Jozuego: „Wstań! Czemu leżysz twarzą do ziemi? Izrael zgrzeszył: naruszyli moje przymierze, które im nakazałem. Wstań! Poświęć lud i powiedz: Poświęćcie się na jutro, gdyż tak mówi Pan, Bóg Izraela: To, co jest obłożone klątwą jest pośród ciebie, Izraelu. Nie będziesz mógł ostać się wobec swoich nieprzyjaciół, dopóki nie usuniecie spośród siebie tego, co jest obłożone klątwą”.

Konieczna jest odnowa w samym Kościele. Błaganie o to, by potok błogosławieństw spłynął na zepsuty i nieposłuszny Kościół, jest stratą czasu i wysiłku. Nowa fala zainteresowania religijnego, może co najwyżej powiększyć w kościołach liczbę ludzi nie mających zamiaru uznać władzy Jezusa ani być posłusznymi Jego nakazom. Bóg nie jest zainteresowany w zwiększaniu liczby chodzących do Kościoła, lecz chodzi Mu o tych, którzy pragną zmienić swe życie i postępowanie i żyć święcie.

Pan ustami proroka Izajasza wyrzekł kiedyś słowa, które powinny rozstrzygnąć tę kwestię raz na zawsze: „Co mi po mnóstwie waszych krwawych ofiar? - mówi Pan. Jestem syty całopaleń baranów i tłuszczu, karmnych cieląt, a krwi jagniąt i byków nie pragnę. Gdy przychodzicie, aby zjawić się przed moim obliczem, któż tego żądał od was, abyście wydeptywali moje dziedzińce? Nie składajcie już ofiary daremnej, kadzenie, nowie i sabaty mi obrzydły, zwoływanie uroczystych zebrań - nie mogę ścierpieć świąt i uroczystości (...) Obmyjcie się, oczyśćcie się, usuńcie wasze złe uczynki sprzed moich oczu, przestańcie źle czynić! Uczcie się dobrze czynić, przestrzegajcie prawa, brońcie pokrzywdzonego, wymierzajcie sprawiedliwość sierocie, wstawiajcie się za wdową! (...) Jeżeli zechcecie być posłuszni, z dóbr ziemi będziecie spożywać.” (Iz.1, 10- 19).

Modlitwa o przebudzenie zostanie wysłuchana dopiero wtedy, gdy towarzyszyć jej będzie radykalna zmiana stylu życia. Całonocne wspólne modlitwy, które nie są poprzedzone pokutą, mogą w rzeczywistości obrazić Boga. „Posłuszeństwo jest lepsze niż ofiara”. Musimy wrócić do chrześcijaństwa Nowego Testamentu, nie tylko w słowach wyznania, lecz także w całym stylu życia. Oddzielenie od świata, posłuszeństwo, prostota, powaga, samoopanowanie, skromność, dźwiganie krzyża: wszystko to musi znowu stać się istotną częścią idei pełnego chrześcijaństwa i być realizowane w życiu codziennym. Musimy oczyścić świątynię z kramarzy i wekslarzy i raz jeszcze poddać się całkowicie władzy naszego zmartwychwstałego Pana. Dotyczy to zarówno autora, jak i każdego, kto wzywa imienia Jezusa. Dopiero wtedy będziemy mogli modlić się z ufnością i oczekiwać nadejścia prawdziwego ożywienia.

Do głębszego życia

Przypuśćmy, że jakaś anielska istota, która od dnia stworzenia doświadczała głębi i wspaniałości przebywania w Bożej obecności, pojawiłaby się na ziemi i przez pewien czas żyła między nami, chrześcijanami. Czy nie sądzicie, że mogłaby być zaszokowana tym, co by ujrziała?

Mogłaby na przykład zastanawiać się, jak możemy być zadowoleni z naszych ubogich, znajdujących się na niskim poziomie, przeżyć duchowych. Mamy przecież w rękach posłanie Boże, nie tylko zapraszające nas do udziału w świętej z Nim społeczności, lecz także dające nam dokładne wskazówki, jak ją osiągnąć. Jak ta istota, która rozkoszowała się intymną społecznością z Bogiem, mogłaby zrozumieć niedbałego, łatwego do zaspokojenia ducha charakteryzującego większość dzisiejszego ewangelicznego chrześcijaństwa. A gdyby nasza hipotetyczna istota знаła takie płonące dusze jak Mojżesz, Dawid, Izajasz, Paweł, Jan, Szczepan, Augustyn, Rolle, Rutheford, Newton, Brainerd czy Faber, mogłaby logicznie wywnioskować, że chrześcijaństwo XX wieku źle zrozumiało niektóre istotne zasady wiary i zatrzymało się w miejscu z braku prawdziwego poznania Boga. A gdyby tak zasiadła na zwykłej sesji jakiejś konferencji biblijnej, usłyszała to wszystko, co przypisujemy sobie jako wierzący w Jezusa Chrystusa, i następnie porównała to z naszymi rzeczywistymi duchowymi przeżyciami, wtedy z pewnością stwierdziłaby wielką sprzeczność pomiędzy tym, za co się uważamy, a tym, czym jesteśmy w rzeczywistości. Śmiałe stwierdzenie, że jesteśmy synami Bożymi, że zostaliśmy zmartwychwzbudzeni wraz z Chrystusem i wraz z Nim posadzeni w niebiosach, że mieszka w nas Duch dający życie, że jesteśmy członkami ciała Chrystusowego i dziećmi nowego stworzenia, są negowane przez nasze postawy, nasze zachowanie, a przede wszystkim przez brak żarliwości i przez brak w nas ducha uwielbienia.

Gdyby nasz boski gość wskazał nam na wielką różnicę pomiędzy naszymi zasadami wiary, a naszym życiem, zbyto by go wesołym wyjaśnieniem, że jest to zwyczajna różnica między naszym niewzruszonym „stanowiskiem”, a podlegającym zmianom „stanem”. Wtedy przeraziłby się, że będąc istotami stworzonymi na podobieństwo Boże, pozwalamy sobie na uprawianie gry słów i niepoważne traktowanie własnych dusz. Czyż nie jest znamienne, że ze wszystkich ewangelicznie wierzących ci, którzy przykładają największą wagę do Pawła, są często najmniej „Pawłowi” z ducha? Jest ogromna i istotna różnica pomiędzy przyjęciem wyznania Pawła, a życiem jak Paweł. Niektórzy z nas, którzy od lat z sympatią obserwują scenę chrześcijaństwa, czują się zmuszeni, aby sparafrazować słowa umierającej królowej i zapłakać: „...Pawle, Pawle, ileż zła popełniono w twoim imieniu!” Dziesiątki tysięcy wiernych, którzy szczytą się rozumieniem Listu do Rzymian i Listu do Efezjan, nie może ukryć ostrej duchowej różnicy pomiędzy ich sercami, a sercem Pawła. Tę różnicę tak można określić: Paweł szukał, znajdował, i szukał dalej. Oni szukają, znajdują, i już nie szukają więcej. Po „przyjęciu” Chrystusa starają się zastąpić rzeczywistość teorią, a praktyczne życie doktryną.

Prawda stała się dla nich zasłoną zakrywającą twarz Boga: dla Pawła była ona drzwiami wiodącymi do bezpośredniej Jego obecności. Duch Pawła był duchem zamiłowanego odkrywcy. Był on poszukiwaczem pomiędzy wzgórzami Boga, szukającym złota osobistego duchowego

poznania. Wielu dziś popiera doktryny Pawła, nie zamierzając naśladować go w jego namiętnej tęsknocie za Bożą rzeczywistością. Czyż można o nich powiedzieć, że są w czymkolwiek „Pawłowi”, oprócz formalnego sensu?

Gdyby Paweł mógł dzisiaj wygłaszać kazania...

Słowami: „Żeby Go poznać” odpowiadał Paweł na palące żądania ciała i zdązał do doskonałości. Wszystko, co było mu zyskiem, uznawał za szkodę wobec doniosłości, jaką ma poznanie Pana Jezusa Chrystusa. A jeśli nawet poznać Go lepiej znaczyło cierpienie lub nawet śmierć, niczym to było dla Pawła. Upodobnienie się do Chrystusa było dla niego warte każdej ceny. Łaknął Boga tak, jak jeleń pragnie wody, a jego uczucia nie miały nic wspólnego z chłodnym wyrachowaniem. Być może mnóstwo przyziemnych ostrzeżeń i wymówek starało się go powstrzymać, a my dobrze znamy je wszystkie. Na przykład: „Uważaj na swoje zdrowie” - ostrzeża rozsądny przyjaciel. „Narażasz się na niebezpieczeństwo utraty psychicznej równowagi” - mówimy. „Zyskasz reputację ekstremisty” - nawołuje trzeci, a trzeźwy nauczyciel Biblii, pełen teologii zamiast pragnienia, śpieszy z zapewnieniem, że nie ma już czego poszukiwać. „Jesteś przyjęty w Umiłowanym” - mówi - i „ubłogosławiony wszystkimi duchowymi błogosławieństwami niebios w Chrystusie. Czegoż więcej pragniesz? Musisz tylko wierzyć i czekać na dni Jego triumfu”.

Tak samo byłby napominany Paweł, gdyby żył dziś wśród nas, ponieważ w istocie takie właśnie słyszałem głosy tłumiące i odrzucające uświęcone dążenia świętych do coraz bliższej społeczności z Bogiem. Ale znając Pawła można z całą pewnością stwierdzić, że zignorowałby on te marne, wygodne rady, i dążył naprzód do celu, po wielką nagrodę powołania Bożego w Chrystusie Jezusie. A my dobrze uczynimy, jeśli staniemy się jego naśladowcami.

Gdy apostoł woła: „Żeby Go poznać”, używa słowa „poznać” nie w znaczeniu intelektualnym, lecz chodzi mu o praktyczne przeżycie. Takiego znaczenia musimy szukać w sercach, a nie w mózgach. Wiedza teologiczna jest wiedzą o Bogu. Jest niezbędną, lecz nie wystarczającą. Znajduje się w takim stosunku do potrzeb duchowych człowieka, jak studnia do potrzeb jego fizycznego ciała. Nie do dołu otoczonego skałami tęskni spragniony wędrowiec, lecz do słodkiej, chłodnej wody, która z niego bije. To nie intelektualna wiedza o Bogu gasi odwieczne pragnienia ludzkich serc, lecz sama osoba Boga i Jego obecność. Tego dowiadujemy się z doktryny chrześcijańskiej, lecz jest to czymś więcej niż doktryną. Chrześcijańska prawda jest nam dana nie po to, aby zastąpić Boga, lecz aby przywieść nas do Niego.

Nowa tęsknota

W sercach coraz większej liczby ewangelicznie wierzących narasta nowa tęsknota za nadzwyczajnym przeżyciem duchowym. Więcej jest jednak takich, którzy lękają się tego, i którzy wysuwają zastrzeżenia wskazujące na niezrozumienie, strach lub oczywistą niewiarę. Ci wskazują palcem na nerwicę, na psychozy, na wyznawców pseudo-chrześcijańskich kultów i na niepokromionych fanatyków, podciągając ich pod wspólny mianownik jako wyznawców „głębszego życia”.

Choć oczywiście jest to zupełnie niedorzeczne, sam fakt istnienia takiego pomieszania pojęć zmusza tych, którzy zalecają życie w pełni Ducha, do określenia swych pojęć i wyjaśnienia stanowiska. A więc, o co nam chodzi i co zalecamy?

Jeśli chodzi o mnie, jestem głęboko przekonany, że nauczam jedynie Chrystusa ukrzyżowanego. Aby móc przyjąć jakąś naukę lub nawet jakiś kierunek, muszę być przekonany, że jest to nauka biblijna, a także apostołska z ducha i charakteru. Musi ona także być w pełnej zgodzie z tym, co najlepsze w historycznym Kościele i w tradycji, co wyrażało się najdoskonalszymi uczynkami poświęcenia, najmiłszymi i najbardziej promiennymi hymnami i najwznioślejszymi przeżyciami, jakie ujawniono w biografii chrześcijan. Musi ona mieścić się we wzorcu prawdy, jaki przekazały nam takie święte dusze, jak na przykład Bernard z Clairvaux, Jan od Krzyża, Molinos, Mikołaj z Kuzy, John Elecher, Dawid Brainerd, Reginald Faber, Evan Roberts, Generał Booth i wiele innych dusz, które choć najmniej uhonorowane i jeszcze mniej znane, stworzyły to, co dr Paul S. Ress (w innym co prawda kontekście) nazywa „ziarnem przetrwania”. Termin ten jest trafny, ponieważ to właśnie tacy wyjątkowi chrześcijanie uratowali chrześcijaństwo od popadnięcia pod całkowity wpływ duchowej miernoty, którą trzeba było przewyciężyć.

Gdy mówimy o „głębszym życiu”, nie chodzi nam o nic głębszego niż po prostu wiara Nowego Testamentu. Chodzi raczej o nakłonienie wierzących, aby sięgali do głębi ewangelii chrześcijańskiej poszukując tych bogactw, które ona z pewnością zawiera, a których nam z pewnością brakuje. „Głębsze życie” jest głębszym tylko dlatego, że życie przeciętnego chrześcijanina jest tragicznie płytkie. Ci, którzy głoszą dziś „głębsze życie”, mogą ustępować każdemu z chrześcijan, którzy otaczali Pawła lub Piotra we wczesnych czasach chrześcijaństwa. Chociaż jeszcze nie osiągnęli być może zbyt dużego postępu, jednakże ich twarze są zwrócone ku światłości i przyzywają nas. Przykro jest patrzeć, w jaki sposób usprawiedliwiamy naszą niechęć do zwracania uwagi na ich wołanie.

Głosiciele głębszego życia mówią nam, że powinniśmy starać się osiąść osobiste duchowe przeżycie tych doniosłych przywilejów danych nam w Jezusie Chrystusie, że powinniśmy starać się rozsmakować w słodkich owocach wewnętrznego uwielbienia tak w Duchu, jak i w prawdzie, że aby osiągnąć ten ideał, musimy, jeśli to konieczne, posunąć się dalej niż nasi zadowoleni bracia i ponieść na swoich barkach wszelkiego rodzaju sprzeczności, jakie by mogło to wywołać.

Autor głośnej nabożnej rozprawy: „Chmury niewiedzy” zaczyna swą niewielką książkę modlitwą, która wyraża ducha pragnącego głębszego życia: „Boże, dla którego otwarte są wszystkie serca (...) i dla którego żadna tajemnica nie jest zakryta, błagam Cię, oczyść wnętrze mojego serca niewymownym darem Twojej łaski, abym mógł Cię doskonale kochać i godnie chwalić. Amen”. Czy może ktoś, kto jest prawdziwie zrodzony z Ducha, o ile nie został uprzedzony przez złe nauczanie, opierać się takiemu doskonałemu oczyszczeniu serca, które by umożliwiło mu doskonale miłować Boga i godnie Go uwielbiać? A w tym właśnie sensie mówimy o przeżyciu „głębszego życia”. Chodzi nam tylko o to, aby to przeżycie dokonało się w sercu, a nie było jedynie akceptacją umysłu.

Nikeforus, ojciec wschodniego Kościoła, w małej rozprawce o życiu w pełni Ducha, rozpoczyna od wezwania, które brzmi dla nas dziwnie dlatego tylko, że od dawna jesteśmy przyzwyczajeni naśladować Jezusa z daleka. „Ty, który pragniesz zdobyć cudowną, boską jasność naszego Zbawiciela, Jezusa Chrystusa, który chcesz czuć w swym sercu Boży ogień, który pragniesz pojąć i doświadczyć uczucia pojednania z Bogiem, który w celu odkrycia i wzięcia w posiadanie skarbu zakopanego w głębi twego serca odrzucasz wszystko, co świeckie, który pragniesz, by właśnie teraz płomień twojej duszy zajaśniał, i dla tego celu porzucasz cały świat, który chcesz przez świadome przeżycia poznać i przyjąć Królestwo Niebieskie przebywające w tobie - pójdz, a ja udzielę ci nauki wiecznego, niebiańskiego żywota”.

Takie cytaty z pewnością można mnożyć, aż mogłyby wypełnić pół tuzina tomów. W żadnej jednak generacji nie obumarła całkowicie taka tęsknota do Boga. Zawsze są tacy, którzy gardzą marnymi ścieżkami i z uporem kroczą wysoką drogą duchowej doskonałości. A jednak, co jest dosyć dziwne, to słowo „doskonałość” nigdy nie oznaczało duchowego punktu końcowego ani też takiego stanu czystości, który czyniłby czystość i modlitwę niepotrzebną. Jest dokładnie na odwrót.

Słuchanie bez posłuszeństwa

Istnieje jednolite świadectwo największych dusz chrześcijańskich, że im bardziej zbliżyli się do Boga, tym ostrzejsza była świadomość grzechu i ich poczucie własnej niegodności. Najczystsze dusze nigdy nie wiedziały, jak bardzo są czyste, najwięksi święci nigdy nie domyślali się, że są wielcy. Samą myśl o tym, że są dobrzy lub wielcy, odrzuciliby jako diabelskie pokuszenie. Byli oni tak pochłonięci wpatrywaniem się w Boga, że rzadko poświęcali choć chwilę na przyglądanie się sobie. Zawsze trwali w błogiej sprzeczności duchowej świadomości: z jednej strony wiedzieli, że zostali oczyszczeni przez krew Baranka, a z drugiej strony wciąż czuli, że zasłużyli jedynie na śmierć i piekło, jako sprawiedliwą zapłatę. Uczucie to silnie przebija z listów Pawła, można je także znaleźć w prawie wszystkich nabożnych książkach i w największych i najbardziej lubianych hymnach.

Jakość ewangelicznego chrześcijaństwa musi się zasadniczo zmienić, jeśli obecne, niezwykle zainteresowanie religią nie ma pozostawić Kościoła gorszym niż był, zanim pojawiło się to zjawisko. Wierzę, że jeśli zaczniemy słuchać, usłyszymy Pana mówiącego do nas tak, jak kiedyś przemówił do Jozuego: „Teraz więc wstań, przepraw się tu przez ten Jordan, ty i cały ten lud, do ziemi, którą Ja im, synom izraelskim daję”. Albo też usłyszymy autora listu do Hebrajczyków mówiącego: „Dlatego pominawszy początki nauki o Chrystusie, zdążajmy ku doskonałości...” Z pewnością zaś usłyszymy Pawła napominającego nas: „...bądźcie pełni Ducha”.

Jeśli jesteśmy wystarczająco czujni, by usłyszeć głos Boga, nie powinniśmy zadowalać się jedynie „wierzeniem” w to, co słyszymy. Jak bowiem może człowiek wierzyć nakazom? Nakazy są po to, aby je wypełniać, i dopóki tego nie uczynimy, dopóty właściwie nic nie uczyniliśmy. Natomiast usłyszeć je i nie okazać posłuszeństwa, szczególnie w świetle bliskiego powrotu Chrystusa i nadejścia sądu, jest czymś nieskończenie gorszym niż nie usłyszeć ich w ogóle.

Wiara jest niepokojąca

Dawni luteranie mówili: „Wiara jest niepokojąca”. Marcin Luter był tym człowiekiem, który z pomocą Bożą na nowo odkrył naukę biblijną o usprawiedliwieniu przez wiarę. Nacisk Lutera na to, że wiara jest jedyną drogą do pokoju serca i wyzwolenia z grzechu, dał nowy impuls życia zwyrodniałemu Kościołowi i spowodował reformację. To jest faktem historycznym. Nie jest to sprawą czyjśgo przekonania, lecz prostym faktem. Każdy może to sprawdzić.

Coś jednak stało się z nauką o usprawiedliwieniu przez wiarę, którą głosił Luter. To, co się stało, nie jest takie łatwe do wykrycia. To nie jest już takim prostym faktem, wyraźnym: tak lub nie, oczywistym jak kolor biały lub czarny. Jest to znacznie bardziej nieuchwytnie i o wiele trudniej wpaść temu na trop. Ale to, co się stało, jest tak poważne i ma takie znaczenie, że zmieniło to, albo jest w trakcie zmieniania całej perspektywy ewangelicznej. Jeśli proces ten będzie przebiegać dalej, może całkiem dobrze wypaczyć zupełnie chrześcijaństwo i wiarę naszych ojców zastąpić czymś zupełnie innym. A cała ta rewolucja duchowa będzie przebiegać tak gładko i będzie wyglądać tak niewinnie, że z trudem będzie to można zauważyć. Ktokolwiek chciałby przeciwko temu walczyć, zostanie oskarżony o walkę z wiatrakami jak don Kichot.

Wiara Pawła i Lutera była czymś rewolucyjnym. Przewracała ona całe życie danej jednostki i zmieniała ją w całkiem innego człowieka. Brała ona całe życie w posiadanie i podbijała je pod posłuszeństwo Chrystusowi. Brała swój krzyż i ruszała w ślady Jezusa bez zamiaru pójścia z powrotem. Mówiła ona „do widzenia” swoim dawnym przyjaciołom tak zdecydowanie jak Elias, kiedy wsiadł do wozu ognistego i w wicherze ruszył ku górze. Nosiła ona cechę ostateczności. Zamykała się wokół człowieka jak pułapka; chwytła człowieka i od tego momentu na zawsze czyniła z niego szczęśliwego sługę jego Pana, związanego z Nim miłością. Zmieniała ona świat w pustynię i ściągała niebo w zasięg wzroku wierzącej duszy. Ustawiała na nowo wszelkie działania i czynności życia, doprowadzając je do zgodności z wolą Bożą. Tego, kto ją posiadał, stawiała na szczycie prawdy, skąd jak z wieży obserwacyjnej widział wyraźnie wszystko, co go spotykało. Czyniła go ona małym, natomiast Boga wielkim, a Chrystusa niewymownie drogim. Wszystko to i jeszcze o wiele więcej działo się z człowiekiem, kiedy przyjął on wiarę, która usprawiedliwia.

Potem przyszła rewolucja, cicha, niezauważalna, i nad wyrazem „wiara” umieściła zupełnie inną konstrukcję. Powolutku, stopniowo znaczenie tego wyrazu zmieniło się z pierwotnego na obecne. A zmiana ta była tak podstępna, że odbyła się prawie bez podnoszących się głosów ostrzegawczych. Lecz jej tragiczne skutki otaczają nas zewsząd.

Obecnie wiara oznacza nie więcej niż bierną moralną zgodę z treścią Słowa Bożego i odkupieńczą śmiercią Jezusa. Praktykowanie tej wiary wymaga tylko podniesienia ręki lub przyklęknięcia na jednym kolanie i przytakiwania głową na znak akceptacji wskazówek pracownika, odpowiedzialnego za zbawienie dusz. Ogólny skutek jest bardzo podobny do tego, jaki ludzie odnoszą po wizycie u dobrego i mądrego lekarza. Przychodzą z takiej wizyty bardzo ucieszeni, z uśmiechem i nieco zawstydzeni, że byli tak mocno zaniepokojeni stanem swego zdrowia, podczas gdy, jak się okazało, nic właściwie im nie brakuje. Po prostu potrzebują nieco wypocząć.

Taka wiara ludzi nie niepokoi. Przeciwnie, cieszy ich. Ona nie powoduje zwicnięcia ich stawu biodrowego, na skutek którego musieliby utykać. Uczy ich ona raczej głęboko oddychać i wykonywać ćwiczenia dla poprawy sylwetki. Twarz ich własnego „ja” zostaje obmyta i ich pewność siebie zostaje uratowana od zniechęcenia. Ludzie ci zyskują te rzeczy, lecz nie otrzymują nowego imienia jak Jakub i nie wkraczają kulejaco w krąg wiecznego blasku słonecznego. „A gdy przechodził przez Peniel, wschodziło nad nim słońce” (1 Mojż. 32, 31). Tak było z Jakubem, a raczej z Izraelem, gdyż nad Jakubem słońce niewiele świeciło. Wstydziło się tego. Chętnie jednak oświecało swoim blaskiem głowę człowieka, którego Bóg przemienił.

Dzisiejsza generacja chrześcijan musi na nowo usłyszeć naukę o niepokojącej właściwości wiary. Ludziom należy mówić, że religia chrześcijańska nie jest czymś, czym można się bawić. Wiara Chrystusowa będzie wydawać rozkazy, albo nie będzie miała z człowiekiem nic do czynienia. Nie zgodzi się ona na przeprowadzanie eksperymentów. Jej moc nie może dosięgnąć człowieka, który potajemnie zachowuje sobie otwartą drogę odwrotu na wypadek, gdyby z Bogiem zaczęło mu być zbyt gorąco. Jedynie człowiek, który zajął pozycję uniemożliwiającą mu drogę odwrotu, może być pewny, że posiadał autentyczną wiarę biblijną. Wiara taka prowadzi do trwałego, nieodwołalnego oddania się Bogu, i bez względu na to, jak bardzo człowiek taki byłby kuszony, będzie zawsze odpowiadał: „Panie, do kogóż pójdziemy? Ty masz słowa żywota wiecznego.”

Korzeń sprawiedliwych

Istotna różnica między pojmowaniem wiary przez ojców, a rozumieniem i przeżywaniem tej samej wiary przez ich potomków, polega na tym, że ojcowie zajęci byli korzeniem sprawy, podczas gdy obecnie ich potomkowie wydają się być zajęci tylko owocem.

Staje się to widoczne w naszym stosunku do niektórych wielkich chrześcijan, których imiona otoczone są przez zbory szacunkiem, jak na przykład Augustyn czy Bernard w czasach dawniejszych, albo Luter czy Wesley w czasach nowszych. Dzisiaj piszemy życiorysy takich jak oni i sławimy ich owoce, lecz istnieje tendencja pomijania korzenia, z którego te owoce wyrastały. „Kto pielęgnuje drzewo, spożywa jego owoc” - mówi mędrzec w Przypowieściach (27, 18).

Nasi ojcowie poświęcali wiele uwagi korzeniom drzewa i potrafili cierpliwie czekać, aż pojawi się owoc. My natychmiast żądamy owocu, nawet choć korzeń jest nierozwinięty, zniekształcony, lub zupełnie go brak. Niecierpliwi chrześcijanie współcześni zaniedbują prostą wiarę świętych tamtych czasów i lekceważąco traktują ich poważne podejście do Boga i rzeczy świętych. Ci dawni wierzący byli ofiarami swego ograniczonego zrozumienia spraw Bożych, lecz byli jednostkami wielkimi i stanowczymi, dzięki czemu zdołali osiągnąć zadowalające przeżycia duchowe i wykonać na świecie wiele dobrego, mimo stojących na ich drodze przeszkód. My próbujemy naśladować ich pod względem owocu, lecz nie naśladujemy ich stosunku do Boga ani nie chcemy narażać się zbytnio na niewygody związane z przyjęciem ich bezkompromisowego podejścia do spraw wiary.

Tak mówimy (a raczej myślimy, nie wypowiadając tego), lecz wszelkie głosy rozsądku, wszelkie fakty związane z przeżyciami duchowymi, wszelkie prawa natury wskazują na to, jak daleko jesteśmy w błędzie. Konar odłamany od drzewa w czasie burzy może pięknie kwitnąć i sprawiać na bezmyślnym przechodniu wrażenie, że jest to zdrowa gałąź, zdolna przynosić owoc, lecz ładne kwiaty wkrótce zmarnieją i konar zwiędnie i uschnie. Nie ma trwałego życia bez związania z korzeniem.

Większość z tego, co dzisiaj uchodzi za chrześcijaństwo, to krótkotrwałe, próżne wysiłki odłamanych gałęzi przynoszenia owocu we właściwym czasie, podstawowe prawa życia są jednak przeciwko temu. Zajmowanie się pozorami i towarzyszące temu zaniedbywanie niewidocznego korzenia prawdziwego życia duchowego - oto objawy, których nie da się ukryć. Liczą się wyłącznie natychmiastowe „wyniki”, szybkie dowody chwilowego sukcesu, nie myśli się natomiast o następnym tygodniu ani o następnym roku. Pragmatyzm religijny wtargnął i szaleje wśród fundamentalistów. Prawdą jest wszystko to, co skutkuje. Jeśli coś daje pożądane wyniki, jest to dobre. Dla przywódcy religijnego istnieje tylko jeden sprawdzian: powodzenie. Wybacz mu się wszystko prócz niepowodzenia.

Jeśli drzewo ma zdrowe korzenie, zdoła oprzeć się każdej burzy, lecz kiedy drzewo figowe, które Pan przeklął „uszło od korzeni”, stało się niezdolne do przynoszenia owocu na zawsze. Kościół mocno zakorzeniony jest nie do zniszczenia, lecz nic nie uratuje kościoła, którego

korzeń jest suchy. Żadne zabiegi, żadne kampanie reklamowe, żadne datki pieniężne ani żadne piękne budynki nie przywrócą życia drzewu, pozbawionemu korzeni.

Nie dbając o jednolitość używanych porównań, apostoł Paweł zachęca nas do poświęcenia większej uwagi naszemu podłożu. „Wkorzeni i ugruntowani w miłości” - mówi mieszając przez to dwa różne przyrównania (Ef. 3, 17), i ponownie na innym miejscu: „wkorzeni weń i zbudowani na nim” (Kol. 2, 7), przez co wyobraża chrześcijanina zarówno jako drzewo należycie wkorzone, jak i świątynię, zbudowaną na solidnym gruncie.

Cała Biblia i wszyscy święci przeszłości łączą się, by przekazać nam to samo. „Nie bądźcie w niczym pewni siebie”- mówią do nas - „wracajcie z powrotem do korzeni. Otwórzcie swoje serca i badajcie Pisma. Nieście swój krzyż, naśladujcie swego Pana i nie zwracajcie uwagi na przemijającą modę religijną. Tłumy zawsze są w błędzie. W każdej generacji liczba sprawiedliwych jest niewielka. Dołóżcie wszelkich starań, by być między nimi.”

„Przez niegodziwość nie stanie człowiek na mocnym gruncie, lecz korzeń sprawiedliwych nie poruszy się.” (Przyp. 12, 3).

Z Bogiem żyje się łatwo

Pierwszym atakiem szatana skierowanym przeciwko ludzkości była jego chytra próba zniszczenia zaufania Ewy w życzliwość Bożą. Na nieszczęście dla niej i dla nas zamiar jego się powiódł. Od tamtego dnia ludzie mają fałszywe wyobrażenie o Bogu i właśnie to wytrąciło im spod nóg grunt sprawiedliwości i zepchnęło ich do życia lekkomyślnego i destruktywnego.

Nic nie wykrzywia i nie zniekształca duszy bardziej niż niskie, niestosowne pojęcia o Bogu. Pewne ugrupowania jak na przykład faryzeusze, mając przekonanie, że Bóg jest surowy i srogi, potrafili utrzymać dosyć wysoki poziom moralny, lecz sprawiedliwość ich była tylko zewnętrzna. Wewnątrz byli „grobami pobielanymi”, jak powiedział im sam Pan. Ich błędne wyobrażenie o Bogu spowodowało błędne wyobrażenie o sposobie służenia Bogu. Dla faryzeusza służba Bogu była wielkim ciężarem, którego nie lubił, lecz którego nie dało się uniknąć, gdyż strata byłaby zbyt wielka. Bóg faryzeusza nie był Bogiem, z którym żyje się łatwo, toteż jego religia była posępna, surowa i pozbawiona miłości. Musiało tak być, gdyż nasze pojęcie Boga określa zawsze jakość naszej religii.

Większość chrześcijaństwa od czasów, kiedy Chrystus chodził po ziemi w ciele, była również posępna i surowa, a przyczyna tego była ta sama: niestosowne, niewłaściwe, nietrafne wyobrażanie sobie Boga. Instynktownie usiłujemy być takimi, jakim jest nasz Bóg. Jeśli wyobrażamy Go sobie jako ponurego i surowego, i my będziemy takimi.

Z braku właściwego zrozumienia Boga pochodzi mnóstwo zmartwienia wśród dobrych wierzących nawet i dzisiaj. Uważają oni, że życie chrześcijańskie jest wyczerpującym, monotonnym dźwiganym krzyża pod okiem surowego Ojca, który wiele rzeczy wymaga, a niczego nie wybacza, który jest surowy, w złym humorze, łatwo wybuchający gniewem, i którego niezmiernie trudno zadowolić. Rodzaj życia, jakie wynika z tych oszczerczych pojęć musi być z konieczności tylko parodią prawdziwego życia w Chrystusie.

Rzeczą niezmiernie ważną dla naszego dobra duchowego jest posiadanie naszej właściwej koncepcji Boga. Jeśli będziemy o Nim myśleć jako o chłodnym i wymagającym, nie będziemy w stanie Go miłować i życie nasze będzie wypełniał niewolniczy strach. Jeśli natomiast będziemy uważać Go za łagodnego i wyrozumiałego, nasze całe życie wewnętrzne będzie odzwierciedlać takie pojęcie.

Faktem jest, że Bóg jest najbardziej zachwycającą ze wszystkich istot i służba Jemu stanowi przyjemność nie do opisanania. Jest On uosobieniem miłości i ci, którzy Mu ufają, nie muszą nigdy doświadczać niczego, prócz tej miłości. Oczywiście, jest On sprawiedliwy i nie może darować grzechu, lecz dzięki krwi wiecznego Przymierza może On odnosić się do nas dokładnie tak, jak gdybyśmy nigdy nie zgrzeszyli. W stosunku do ufających Mu synów ludzkich, Jego miłosierdzie triumfuje zawsze nad Jego sprawiedliwością.

Spółeczność z Bogiem jest niewypowiedzianą błogością. Obcuje On z swoimi odkupionymi w swobodnej, poufalej społeczności, która stanowi dla duszy odprężenie i uzdrowienie. Nie jest ani obraźliwy, ani samolubny, ani kapryśny. Jaki jest dzisiaj, takiego znajdziemy jutro i po jutrze, i po roku. Nie trudno sprawić Mu przyjemność, choć może trudno Go zadowolić.

Oczekuje od nas tylko tego, co wcześniej sam nam darował. Szybko zauważa każdy prosty wysiłek sprawienia Mu radości i również szybko przebacza niedociągnięcia, jeśli wie, że chcieliśmy spełniać Jego wolę. Miłuje nas bezinteresownie i ceni naszą miłość bardziej niż galaktyki nowo tworzonych światów.

Niestety, wiele chrześcijan nie może wyzwolić się ze swych zwyrodniałych wyobrażeń o Bogu i wyobrażenia takie zatrują ich serca i niszczą ich wewnętrzną wolność. Tacy przyjaciele służą Bogu z konieczności, tak jak starszy brat syna marnotrawnego, czyniąc to, co właściwe, bez zapału i bez radości, zupełnie niezdolni, by zrozumieć uroczysty, entuzjastyczny nastrój po jego powrocie do domu. Ich pojęcie o Bogu wyklucza, by mógł On radować się ze Swojego ludu i dlatego uważają jego śpiewy i okrzyki za czysty fanatyzm. Są to dusze bez radości, skazane na ciężki chód swoją melancholijną drogą, mocno zdecydowane stać w tym, co prawe, choćby świat się walił, aby ostać się w dniu sądu.

Jakże dobrze byłoby nauczyć się, że z Bogiem żyć jest łatwo. On wie, jakim jesteśmy ulepieniem, pamięta, że jesteśmy prochem. On czasem może nas karcić, to prawda, lecz nawet i to robi z uśmiechem, z łagodnym uśmiechem Ojca promieniającego dumą i zadowoleniem nad niedoskonałym, lecz obiecującym synem, który dzień po dniu staje się coraz bardziej podobny do Tego, którego jest dzieckiem.

Niektórzy z nas są nerwowi i zakłopotani, ponieważ wiemy, że Bóg zna każdą naszą myśl i widzi wszystkie nasze czyny. Nie trzeba nam się tym matrwic. Bóg jest sumą wszelkiej cierpliwości i szczytem łagodności i dobrej woli. Największą radość sprawimy Mu nie przez usiłowanie robić siebie dobrymi, lecz kiedy rzucimy się w Jego ramiona z wszystkimi naszymi brakami, wierząc, że On wszystko rozumie i mimo wszystko bardzo nas miłuje.

Trzeba mieć czas dla Boga

Prawdopodobnie najpowszechniejszym i najbardziej długotrwałym problemem spotykanym wśród chrześcijan jest problem opóźnionego postępu duchowego. Dlaczego nawet po latach stażu chrześcijańskiego tak wiele osób znajduje się nie dalej, niż kiedy uwierzyli?

Niektórzy będą skłonni odpowiedzieć na to pytanie powierzchownym stwierdzeniem, że osoby te nigdy nie zostały zbawione, że nigdy nie były prawdziwie odrodzone. Są więc rzekomo wyznawcami wprowadzonymi w błąd, którzy nie przeżyli prawdziwego nawrócenia. Co do niektórych odpowiedź taka jest zapewne słuszna i moglibyśmy przyjąć to proste wyjaśnienie, gdybyśmy nie wiedzieli, że wprowadzony w błąd, nieodrodzony wyznawca nigdy nie narzeka nad własnym brakiem wzrostu duchowego. Narzekają nad tym prawdziwi chrześcijanie, którzy mieli rzeczywiste przeżycie nawrócenia, i którzy aktualnie ufają w Chrystusie jako swoim Zbawicielu. Niezliczona ilość takich wierzących przeżywa zniechęcenie i boleje nad brakiem postępu w swoim życiu duchowym.

Przyczyn opóźnienia wzrostu duchowego jest wiele. Nie byłoby trafne przypisywanie winy za ten stan jednej tylko rzeczy. Jedna z nich jest jednak tak powszechna, że można ją słusznie uważać za przyczynę główną: Nie poświęcanie czasu na pielęgnowanie znajomości Bożej.

Istnieje silna pokusa traktowania naszego stosunku do Boga jako stosunku prawnego zamiast osobistego. Sprawa zbawienia została w naszych czasach zredukowana do jednorazowego aktu, nie wymagającego dalszej uwagi. Młody wierzący uzyskuje świadomość wykonanej czynności, zamiast świadomość żyjącego Zbawiciela, którego należy naśladować i czcić.

Chrześcijanin jest mocny albo słaby zależnie od tego, jak ściśle pielęgnuje znajomość Bożą. Paweł był jak najbardziej przeciwny tej szkole jednorazowego, automatycznego chrześcijaństwa. Poświęcił on całe swoje życie sztuce poznawania Chrystusa. „Lecz więcej jeszcze, wszystko uznaję za szkodę wobec doniosłości, jaką ma poznanie Jezusa Chrystusa, Pana mego, dla którego poniosłem wszelkie szkody i wszystko uznaję za śmiecie, żeby zyskać Chrystusa... Żeby poznać Go i doznać mocy zmartwychwstania Jego i uczestniczyć w cierpieniach Jego, stając się podobnym do Niego w Jego śmierci... Zmierzam do celu, do nagrody w górze, do której zostałem powołany przez Boga w Chrystusie Jezusie” (Fil.3, 8. 10. 14).

Postęp w życiu chrześcijańskim jest dokładnie proporcjonalny do wzrostu znajomości trójjedynego Boga, jaką uzyskujemy przez osobiste doświadczenie. A doświadczenie takie wymaga poświęcenia Mu całego życia i spędzania wiele czasu na świętym zadaniu pielęgnowania społeczności z Bogiem. Boga możemy poznać w zadowalającej mierze, jeśli poświęcimy dla Niego dosyć czasu. Nie zdając sobie z tego sprawy, zapisaliśmy w tytułach naszych książek i tekstach naszych pieśni poważny błąd. Śpiewamy na przykład o „zamienieniu słówka z Jezusem”, „słodkiej chwilce modlitwy” i mamy książki zatytułowane np. „Minuta z Bogiem” i tym podobne. Chrześcijanin zadowolony „minutą” z Bogiem i zamienieniem „słówka z Jezusem” to właśnie ten sam, którego na nabożeństwie można zobaczyć narzekającego nad

swoim opóźnionym wzrostem duchowym i błagającego ewangelistę o wskazanie mu drogi wyjścia z tej stagnacji.

Możemy też wyrazić to następująco: Nie ma skrótów na drodze do uświęcenia. Nawet mocne przeżycia, mające miejsce w życiu duchowym, są zazwyczaj wynikiem długich okresów rozważań i skupienia modlitewnego. W miarę jak w zaostrzającym się wzroku duchowym cud obecności Bożej staje się dla nas coraz wyraźniejszy, wzrasta prawdopodobieństwo mocnego, jednorazowego przeżycia o rewolucyjnym znaczeniu. Przeżycie takie ma jednak ścisły związek z poprzedzającym je okresem. Jest ono słodką eksplozją, wytrysnięciem wody, której ciśnienie wewnątrz nas wzrastało stopniowo aż do chwili, kiedy musiało nastąpić jej wyzwolenie. Za tym wszystkim kryje się jednak powolne budowanie i przygotowanie, pochodzące z oczekiwania na Boga.

Tysiące przynęt będzie odrywać nasze myśli od Boga, lecz jeśli jesteśmy rozsądni, odsuniemy je zdecydowanie od siebie i damy miejsce Królowi, i poświęcimy czas na podejmowanie Go u siebie. Niektóre rzeczy mogą być zaniedbywane bez wielkiej szkody dla życia duchowego, lecz zaniedbując społeczność z Bogiem narażamy się na niepowetowane szkody. Jeśli podejmujemy wysiłek poznania Boga, Bóg na to z pewnością zareaguje. Biblia mówi nam, w jaki sposób to się dzieje. Wszystko zależy od tego, ile zdecydowania wkładamy w to święte zadanie.

Nie ma odrodzenia bez przemiany

W Biblii oferta ułaskawienia ze strony Bożej uwarunkowana jest gotowością przemiany ze strony człowieka. Nie może być duchowego odrodzenia bez moralnego przeobrażenia. Jeśli stwierdzenia tego trzeba bronić, dowodzi to, jak zboczyliśmy od prawdy.

W naszej potocznej, popularnej teologii ułaskawienie zależy wyłącznie od wiary. Sam wyraz „reformować”, to znaczy zmieniać formę czyli przeobrażać, przemieniać, został usunięty ze słownika synów reformacji.

Nieraz słyszymy stwierdzenie: „Ja nie głoszę reformacji, ja głoszę odrodzenie”. Rozumiemy pod tym przejaw słusznego buntu przeciwko bałamutnej i niebiblijnej nauce o zbawieniu przez ludzkie wysiłki. Jednocześnie stwierdzenie to w swej postaci zawiera rzeczywisty błąd, ponieważ przeciwstawia sobie odrodzenie i reformację czyli przeobrażenie. W rzeczywistości te dwie rzeczy w zdrowej teologii biblijnej nigdy nie są ze sobą skłócone. Nauka „nie przeobrażenia lecz odrodzenia” niewłaściwie podsuwa alternatywę: bądź - albo, bądź reformacja - albo odrodzenie. To nie jest trafne. Faktem jest, że nie obowiązuje tutaj bądź jedno - albo drugie, lecz obowiązuje i jedno, i drugie. Człowiek nawrócony to człowiek zarówno przemieniony, jak i odrodzony. I dopóki grzesznik nie wykaże gotowości poddania się reformacji przekształceniu swojej drogi życia, nigdy nie doświadczy wewnętrznego przeżycia, jakim jest odrodzenie. Taka jest żywotna prawda, która została zagubiona wśród wyobrażeń ludowej teologii ewangelicznej.

Przekonanie, że Bóg ułaskawi buntownika, który nie zaniecha swojego buntu, jest sprzeczne z Pismem Świętym, jak i ze zdrowym rozsądkiem. Jakże przerażającą jest myśl o Kościele pełnym osób, które otrzymały ułaskawienie, lecz nadal miłują grzech i nienawidzą drogi sprawiedliwości! A jeszcze bardziej okropne jest myśleć o niebie napełnionym grzesznikami, którzy się upamiętali i nie zmienili swojego sposobu życia.

Zilustrujmy to pewnym przykładem. Gubernator jednego ze stanów amerykańskich zwiedzał więzienie stanowe, lecz nie ujawnił, kim jest. Wdał się w rozmowę z pewnym przystojnym młodym więźniem i odczuwał chęć ułaskawienia go. „Co byś zrobił” - zapytał - „gdybyś przypadkiem miał szczęście i wyszedł na wolność?” Więzień nie wiedząc, z kim rozmawia, burknął w odpowiedzi: „Jeśli kiedy stąd wyjdę, pierwszą rzeczą, jaką zrobię, będzie podcięcie gardła sędziemu, który mnie tu posłał”. Gubernator przerwał rozmowę i opuścił celę. Więzień pozostał w więzieniu. Ułaskawić człowieka, który nie został przeobrażony, znaczy wypuścić pomiędzy ludzi dalszego zabójcę. Taki rodzaj ułaskawienia byłby nie tylko nierozsądny, lecz także niemoralny.

Obietnica łaski i oczyszczenia jest w Biblii zawsze połączona z rozkazem opamiętania się. Powszechnie używany tekst z Izajasza: „Choć wasze grzechy będą jak szkarłat, jak śnieg zbieleją; choć będą czerwone jak purpura, staną się białe jak wełna” jest ściśle związany z wersetami poprzednimi: „Obmyjcie się, oczyśćcie się, usuńcie wasze złe uczynki z przed moich oczu, przestańcie źle czynić! Uczcie się dobrze czynić, przestrzegajcie prawa, brońcie pokrzywdzonego, wymierzając sprawiedliwość sierocie, wstawiając się za wdową! (Iz.1.16-18).

Czy nie jest to wezwanie do radykalnej reformacji życia, zanim będzie można oczekiwać ułaskawienia? Rozłączenie tych tekstów od siebie jest gwałceniem Słowa Bożego. Robiąc to dowodzimy, że nieuczciwie postępujemy z prawdą.

Uważam, że nie ma wątpliwości co do tego, iż nauczanie o zbawieniu bez upamiętania obniżyło poziom moralny Kościoła i wytworzyło mnóstwo zwiedzionych wyznawców religii, którzy mylnie przypuszczają, że są zbawieni, podczas gdy w rzeczywistości są oni stale jeszcze „pogrążeni w gorzkiej żółci i w więzach nieprawości” (Dz.8.23). Smutkiem i zniechęceniem napawa widok takich ludzi, poszukujących głębszego życia. Niestety, nieraz zgromadzenia nasze napalone są szukającymi, którzy wołają razem z Szymonem: „Dajcie i mnie tę moc” (w.19), podczas gdy niezbędny do tego normalny fundament nie został jeszcze położony. Całe to zjawisko należy uznać za wyraźne zwycięstwo diabła - zwycięstwo, którego nie odniósłby, gdyby nie umożliwili tego niemądrzy nauczyciele, głoszący szkodliwą naukę o odrodzeniu bez przeobrażenia.

Prawdziwa wiara przynosi oddanie

Dla wielu chrześcijan Chrystus to niewiele więcej jak tylko idea lub w najlepszym razie ideał. Nie jest On dla nich faktem. Miliony tych, którzy wyznają wiarę, mówi jak gdyby był On rzeczywistością i postępuje, jak gdyby nie był. A naszą prawdziwą postawę ujawnia nasze postępowanie, nie nasze mówienie.

Swoją wiarę możemy udowodnić tylko swoim oddaniem, niczym innym. Każda wiara, która nie rządzi tym, kto ją posiada, nie jest prawdziwą wiarą - jest ona tylko pseudo-wiarą. Prawdopodobnie zaszokowałyby nas głęboko, gdybyśmy nagle zostali postawieni twarzą w twarz z naszymi wierzeniami i zmuszeni do wypróbowania ich w ogniu praktycznego życia.

Wielu z nas chrześcijan wykazuje niezwykły spryt urządzając swoje życie tak, aby dopuszczało ono prawdziwość chrześcijaństwa, lecz aby praktyczne wnioski wynikające z niego nie były dla nas źródłem żadnych kłopotów. Ustawiamy sprawy tak, aby móc się całkiem dobrze obejść bez pomocy Bożej, a przy tym ostentacyjnie udajemy, że jej szukamy. Chlubimy się Panem, ale bacznie pilnujemy, aby nigdy nie popaść w zależność od Niego. „Najzdradliwsze i najprzewrotniejsze nade wszystko jest serce. Któż je pozna?”

Pseudo-wiara zawsze ma przygotowaną drogę ewakuacyjną na wypadek gdyby Bóg zawiódł. Prawdziwa wiara zna tylko jedną drogę i z radością pozwala na pozbawienie się wszelkich zastępczych dróg i środków, będących namiastkami. Dla prawdziwej wiary istnieje albo Bóg, albo całkowite załamanie. Od czasu, kiedy Adam jako pierwszy człowiek chodził po tej ziemi, Bóg nie zawiódł jeszcze żadnego mężczyzny ani żadnej kobiety, którzy Mu ufali.

Człowiek pseudo-wierzący będzie gotów walczyć w obronie swojego słownego wyznania, ale starannie będzie unikał sytuacji, w której jego przyszłość byłaby zależna od prawdziwości tego wyznania. Zawsze zapewni sobie drogę ucieczki na wypadek, gdyby dach się zawalił.

W naszych czasach nagląco jest nam potrzebne grono chrześcijan, gotowych ufać Bogu tak całkowicie, jak wiedzą, że będą musieli zaufać Mu w ostatecznym dniu. Dla każdego z nas zbliża się bowiem nieuchronnie dzień, w którym nie pozostanie nam nic, jak tylko Bóg. Dla pseudo-wierzącego jest to przerażająca myśl, lecz dla prawdziwie wierzącego jest to najbardziej pocieszająca myśl, jaką może mieć w swoim sercu.

Byłoby to rzeczywiście tragedią dojsć do punktu, w którym nie pozostaje nic innego jak tylko Bóg i stwierdzić, że tak naprawdę nie ufaliśmy Mu w dniach naszej ziemskiej pielgrzymki. Lepiej byłoby zaprosić Boga teraz, aby usunął wszelką fałszywą ufność, oderwał nasze serca od wszystkich tajnych kryjówek i wyprowadził nas na otwartą przestrzeń, gdzie moglibyśmy sprawdzić sami czy rzeczywiście ufamy Mu, czy nie. Jest to surowa, ale pewna kuracja z naszych schorzeń. Łagodniejsza kuracja mogłaby okazać się nieskuteczna, a nasz czas szybko upływa.

Musimy słuchać godnie

Ludzie przeważnie uważają, że gdy kaznodzieja wypowiada poselstwo prawdy, a jego słowa wpadają do uszu słuchających, to ma już miejsce rzeczywisty akt słuchania. Uważa się, że przyjęli oni pouczenie, ponieważ wysłuchali Słowa Bożego. Jednak to nie następuje.

Jeśli mamy zostać naprawdę pouczeni, musimy słuchać godnie lub dokładniej: musimy słuchać w sposób godny. Słuchając kazania, czytając dobrą książkę lub nawet czytając samą Biblię możemy wiele z tego tracić, jeśli nie słuchamy prawdy godnie. Słuchać niegodnie znaczy nie spełniać moralnych warunków, koniecznych do tego, aby słyszeć prawdę właściwie.

Miejsce Pisma: „Tak jest z moim słowem, które wychodzi z moich ust: nie wraca do mnie puste, lecz wykonuje moją wolę i spełnia pomyślnie to, z czym je wysłałem” (Iz. 55, 11) nie uzasadnia przekonania, że Boża prawda jest skuteczna gdziekolwiek i kiedykolwiek jest głoszona. Starotestamentowi prorocy boleli nad tym, że chociaż głośno wołali do Izraela, ich słowa nie były przyjmowane. „Ponieważ wołałem, a nie chcieliście słuchać, wyciągałem ręce, a nikt nie zważał, ponieważ nie poszliście za moją radą i nie przyjęliście mojego ostrzeżenia” (Przyp. 1, 24. 25). Podobieństwo naszego Pana o rozsiewcy i nasieniu jest następnym dowodem, że możliwe jest słuchanie prawdy bez żadnego pożytku. Paweł odwrócił się od Żydów ze słowami: „Będziecie stale słuchać, a nie będziecie rozumieli” (Dz. 28, 26) i skierował swoje usługiwanie do pogan.

Zanim może nastąpić prawdziwe wewnętrzne zrozumienie Bożej prawdy, musi nastąpić moralne przygotowanie. Nasz Pan przedstawił to wyraźnie na kilku miejscach w ewangeliach. „W tym czasie odezwał się Jezus i rzekł: Wysławiam cię, Ojcze, Panie nieba i ziemi, że zakryłeś te rzeczy przed mądrymi i roztroprnymi, a objawiłeś je prostaczkom. Zaprawdę, Ojcze, bo tak się tobie upodobało” (Mat. 11, 25. 26). Ewangelia Jana jest wypełniona nauką, że zanim będzie mogło nastąpić prawdziwe zrozumienie Bożej prawdy, w duszy nastąpić musi duchowe przygotowanie. Jest to podsumowane u Jana 7, 17: „Jeśli kto chce pełnić wolę Jego, ten pozna, czy ta nauka jest z Boga”. Paweł zaś powiedział wyraźnie: „Ale człowiek zmysłowy nie przyjmuje tych rzeczy, które są z Ducha Bożego, bo są dlań głupstwem, i nie może ich poznać, gdyż należy je duchowo rozsądzać” (1 Kor. 2, 14).

Przeciętny zbór rozpatrując kandydatury na pastora, zadaje jakby pytanie: „Czy ten człowiek jest godny, aby przemawiać do nas?” Przypuszczam, że pytanie takie jest uzasadnione, ale jest także inne, bardziej odpowiadające okolicznościom. Brzmi ono: „Czy jesteśmy godni słuchać tego człowieka?” Postawa pokory po stronie słuchających zapewniłaby im otrzymanie o wiele więcej światła od tej świecy, jakiegokolwiek byłaby ona wielkości, którą Panu upodobało się do nich posłać.

Kiedy jakiś mężczyzna lub kobieta stają się godni słuchać, Bóg czasem mówi do nich przez bardzo niegodne środki. Piotr na przykład został doprowadzony do pokuty przez pianie koguta. Oczywiście kogut ten nie był świadomy swojej roli, ale Pan Piotra tak ustawił okoliczności, że to właśnie pianie koguta zdołało skruszyć serce jego odpadłego apostoła i spowodować jego wyjście na zewnątrz i potok gorzkich łez upamiętania. Augustyn został

doprowadzony do pokuty na widok swojego przyjaciela, zabitego przez piorun. Mikołaj Hermann nawrócił się na widok drzewa pozbawionego liści w zimie. Spurgeon stał się chrześcijaninem po wysłuchaniu skromnego metodystycznego katechety, napominającego zgromadzenie. Moody został doprowadzony do wyraźnego namaszczenia Duchem przez świadectwo jego znajomej, prostej, starszej kobiety.

Wszystkie te przykłady uczą tego samego. Bóg chce przemawiać do serc tych, którzy przygotowują się, aby słyszeć, i odwrotnie: ci, którzy nie przygotowują się, nie usłyszą niczego, choćby Słowo Boże padało do ich zewnętrznych uszu co niedzieli.

Dobrzy słuchacze są tak samo ważni jak dobrzy kaznodzieje. Potrzebujemy więcej jednych i drugich.

Bojaźń Pańska

Prawda nauczana wyraźnie w Piśmie Świętym i potwierdzona osobistym świadectwem niezliczonej liczby świętych mężów i kobiet na przestrzeni wieków może zostać streszczona następującym zdaniem: „Nikt nie może znać prawdziwej łaski Bożej, kto najpierw nie poznał bojaźni Bożej”.

Pierwsza zapowiedź Bożego planu zbawienia ludzkości została uczyniona wobec mężczyzny i kobiety, usiłujących w śmiertelnym strachu ukryć się przed obecnością Pana. Prawo Boże zostało nadane człowiekowi drżącemu ze strachu wśród ognia i dymu, dygoczącemu na odgłos grzmotów i dźwięk Bożej trąby. Kiedy język Zachariasza został rozwiązany w wyniku tajemniczej Bożej operacji, „padł lęk na wszystkich ich sąsiadów”. Nawet to słynne poselstwo: „Na ziemi pokój ludziom, w których ma upodobanie” skierowane zostało do pasterzy, których „ogarnęła bojaźń wielka” z powodu nagłej obezwładniającej obecności zastępów niebiańskich.

Trzeba nam tylko czytać Pisma z otwartymi oczami, aby widzieć tę prawdę ciągnącą się jak mocna lina od Genesis aż do Objawienia. Obecność tego, co Boskie, zawsze wywoływała lęk w sercach grzesznych ludzi. W każdym ujawnieniu się Boga zawsze było coś, co onieśmiało widzów, co przytłaczało i przerażało ich, co napełniało ich ponadnaturalnym lękiem. Ten strach nie jest związany z samym tylko poczuciem zagrożenia przed niebezpieczeństwem. Jest to paralizujące porażenie, przenikające do głębi całą istotę, o wiele bardziej niż odruch pochodzący z normalnego instynktu samozachowawczego.

Nie wierzę, by coś dobrego i trwałego mogło pochodzić z działalności religijnej, nie zakorzenionej w tego rodzaju lęku właściwego istotom stworzonym. Zwierzę w nas jest bardzo silne i bardzo pewne siebie. Zanim nie zostanie ono pokonane, Bóg nie ukaże się oczom naszej wiary. Zanim nie ogarnie nas ten bezimienny strach, będący wynikiem nagłej konfrontacji nieświętszej istoty z Tym, który jest najświętszy ze wszystkiego, nie mamy szansy zostać głębiej poruszeni przez naukę o miłości i łasce, przedstawioną w ewangelii Nowego Testamentu. Miłość Boża nie dotyka wcale cielesnego serca, a jeśli w ogóle, to z odwrotnym skutkiem, gdyż wiadomość o tym, że Bóg nas miłuje, może nas po prostu utwierdzić w naszej samosprawiedliwości.

Wysiłki liberałów i skrajnych modernistów pozyskiwania ludzi dla Boga przez głoszenie przyjemnej strony religii są bezwarunkowo złe - przede wszystkim dlatego, że ignorują istotę i przyczynę naszego oddalenia od Boga. Dopóki człowiek nie upadnie do problemów ze swoim sercem, nie ma szansy wydostania się ze swoich problemów z Bogiem. Kain i Abel to dwa naoczne przykłady tej prawdy. Kain złożył prezent Temu, o którym przypuszczał, że jest z niego zadowolony. Abel złożył ofiarę Temu, o którym wiedział, że nie może On go przyjąć takiego, jakim jest. Jego drżące serce podpowiedziało mu, aby szukał miejsca ucieczki. Serce Kaina nie drżało, Kain był z siebie zadowolony i dlatego nie szukał miejsca ucieczki. Bojaźń Boża byłaby dla Kaina korzystna w tym krytycznym momencie, gdyż zmieniłaby całkowicie charakter jego ofiary i nadała inny, lepszy kierunek całemu jego życiu.

Musimy jednak pamiętać, że jakkolwiek nieodzowna byłaby bojaźń Pańska, nie można jej wywołać przez groźby wypowiedane w imieniu Pańskim. Piekło i sąd są rzeczywistością i trzeba je zwiastować w ich biblijnym kontekście w takiej pełni, w jakiej uczy o nich Biblia, nie mniej i nie więcej, to jednak nie jest w stanie sprowadzić tej tajemniczej rzeczy, którą nazywamy bojaźnią Pańską. Taka bojaźń jest nadnaturalna i nie jest związana z groźbami kary. Jest jej właściwa tajemnicza jakość, często pozbawiona w znacznym stopniu treści intelektualnej. Jest to bardziej uczucie niż myśl czy nauka. Jest to głęboka reakcja upadłego stworzenia na obecność świętej Istoty, o której strwożone serce wie, że jest to Bóg. Sam tylko Duch Święty może wywołać to uczucie w piersi człowieka. Wszelkie wysiłki z naszej strony, by do tego doprowadzić, są bezskuteczne albo jeszcze gorzej.

Ponieważ bojaźń Pańska jest rzeczą nadnaturalną, nie można jej wzbudzić przez wielokrotne ostrzeżenie przed wojną, komunizmem czy załamaniem gospodarki. Biejący chwyt polegający na straszeniu ludzi bombą atomową i sterowanymi raketami nie jest ani biblijny, ani skuteczny. Puszczając petardy w stado kozłów można ewentualnie osiągnąć to, że zmusi się je do wejścia do owczarni, ale cały naturalny strach świata nie spowoduje, aby kozioł zamienił się w owcę. Podobnie też strach przed obcą inwazją nie zmieni swawolnych ludzi w miłośników Boga i sprawiedliwości. To po prostu nie działa w ten sposób.

Skąd wobec tego bierze się prawdziwa bojaźń Boża? Z poznania własnej grzeszności i poczucia obecności Bożej. Izajasz miał mocne przeżycie zarówno swojej własnej nieczystości, jak i potężnej obecności Jahwe. Było to silniejsze, niż był w stanie znieść. Upadłszy na twarz wykrzyknął uznanie swojej własnej grzeszności, która była tym bardziej nieznośna, że jego oczy zobaczyły Króla, Pana Zastępów.

Zgromadzenie będzie odczuwać tę tajemniczą bojaźń Bożą, gdy kaznodzieje i przywódcy zboru będą napełnieni Duchem. Kiedy Mojżesz zstąpił z góry mając lśniące oblicze, synowie Izraela bali się bojaźnią, pochodzącą z tego nadnaturalnego widoku. Mojżesz nie potrzebował ich straszyć. Wystarczyło, że pojawiał się tylko przed nimi z tym światłem na twarzy.

Zadowolenie naszym wrogiem

Pewne duże przedsiębiorstwo mleczarskie robi ogromne interesy dzięki hasłu, które mówi, że ich wszystkie krowy są zadowolone ze swojego losu. Sprytne reklamy sprawiły, że slogan „zadowolone krowy” stał się wszystkim dobrze znany. Ale to, co jest cnotą dla krowy, może być wadą dla człowieka. A zadowolenie, jeśli chodzi o sprawę duchowe, jest z pewnością błędem.

Paweł wyznał, że nauczył się przyjmować z zadowoleniem takie dobra doczesne, jakie były jego udziałem. To jest coś innego niż zadowolenie z własnych osiągnięć duchowych. Gdy chodzi o nie, apostoł stwierdził wyraźnie, że nie jest z nich zadowolony:

„Bracia, ja o sobie samym nie myślę, że pochwyliłem, ale jedno czynię: zapominając o tym co za mną i zdążając do tego, co przede mną, zmierzam do celu, do nagrody w górze, do której zostałem powołany przez Boga w Chrystusie Jezusie”. Zadowolenie z posiadanych dóbr ziemskich jest cechą człowieka uświęconego, natomiast zadowolenie z własnego stanu duchowego jest oznaką wewnętrznej ślepoty.

Jednym z największych wrogów chrześcijanina jest samozadowolenie religijne. Człowiek, który myśli, że dotarł do celu, nie pójdzie już dalej. Z jego punktu widzenia dalsze posuwanie się naprzód byłoby niedorzecznością. Pułapką jest wiara w to, że doszliśmy, podczas gdy naprawdę tak nie jest. Współczesny ładny zwyczaj cytowania jakiegoś tekstu na dowód, że dotarliśmy do celu, może być niebezpieczny, jeśli w rzeczywistości nie posiadamy prawdziwego wewnętrznego przeżycia tego tekstu. Prawda, której osobiście się nie doświadczyło, nie jest lepsza od błędu i może być tak samo niebezpieczna jak błąd. Uczni w Piśmie, którzy zasiedli na mównicy Mojżesza, nie byli ofiarami błędu. Byli oni ofiarami braku przeżywania tej prawdy, której uczyli.

Samozadowolenie religijne można spotkać wśród współczesnych chrześcijan prawie wszędzie, a jest to zjawisko znamienne i prorocze. Każdy chrześcijanin bowiem stanie się w końcu tym, czym uczynią go pragnienia. Wszyscy jesteśmy ogólną sumą naszych własnych pragnień. Wszyscy wielcy święci ludzie mieli pragnące serca. Ich wołaniem było: „Dusza moja pragnie Boga, Boga żywego. Kiedyż przyjdę i ukazę się przed obliczem Boga?” (Ps. 42,3). Pragnienie Boga paliło się w nich i było siłą napędową do parcia naprzód i wzbijania się do góry ku wyżynom, na które mniej żarliwi chrześcijanie spoglądali rozmarzonym, ospałym okiem, nie żywiąc żadnej nadziei na ich osiągnięcie.

Prawowierne chrześcijaństwo spadło na obecny niski poziom na skutek braku duchowego pragnienia. Wśród tak wielkiej liczby wyznawców wiary chrześcijańskiej zaledwie jeden na tysiąc przejawia pasjonujące pragnienie zbliżenia się do Boga. Wiele naszych doradców duchowych w swojej praktyce używa Pisma Świętego po to, aby zniechęcić tych, u których tu i tam budzą się takie pragnienia. Boimy się ekstremów i uciekamy w popłochu przed zbyt gwałtownością w wierze, tak jak gdyby było możliwe posiadanie za dużo miłości, za dużo wiary, za dużo świętości.

Czasem zdarza się, że serce podskakuje z radości, kiedy uda nam się odkryć jakiegoś zachłannego świętego, gotowego poświęcić wszystko dla radości przeżywania Boga w coraz

ściślejszej społeczności z Nim. Do takich kierujemy te słowa zachęty: Módl się dalej, bojuj dalej, śpiewaj dalej! Nie lekceważ niczego, co zrobił już dla ciebie, dziękuj Mu za wszystko, coś otrzymał dotychczas, lecz nie zatrzymuj się na tym. Dąż usilnie i wytrwale do głębszych rzeczy Bożych. Domagaj się kosztowania z głębszych tajemnic odkupienia. Stój na twardym gruncie, lecz pozwól sercu unosić się tak wysoko, jak tylko zechce. Nie gódź się na przeciętność i nie kapituluj przed chłodem twojego duchowego otoczenia. Jeśli będziesz usilnie do tego dążył, niebo z pewnością otworzy się dla ciebie i tak samo jak prorok Ezechiel zobaczysz widzenie Boga.

Jeśli nie będziesz tego robić, osiągniesz w końcu (będąc tego nieświadomy) pole cmentarne prawowiernych kości i będziesz skazany na spędzenie reszty życia w duchowym stanie, który najlepiej można scharakteryzować jako „poziom martwoty i kwintesencja wszelkiej mierności”.

Niech Bóg zachowa nas wszystkich od takiego stanu. Amen.

Jakimi jesteśmy, taki jest nasz owoc

Woda nie może się podnieść ponad swój własny poziom. Podobnie też żaden chrześcijanin nie może poprzez jakiś nagły spazmatyczny wysiłek podnieść się ponad poziom własnego życia duchowego.

Widziałem pod słońcem, jak człowiek Boży puszcza w ruch swój język pozwalając mu przez cały dzień na lekką i frywolną paplaninę, pozwala swoim zainteresowaniom wałęsać się swobodnie pośród jałowych przyjemności tego świata, a potem, w obliczu potrzeby przemawiania wieczorem, w ostatniej minucie przed nabożeństwem szuka uciszenia i walcząc desperacko w modlitwie usiłuje wprawić się w stan, w którym duch proroczy zstąpi na niego, kiedy wyjdzie na kazalnicę. Przez doprowadzenie swoich emocji do białego żaru może osiągnąć i być później z tego zadowolony, że głosił Słowo Boże z wielką swobodą, ale on zwodzi samego siebie i postępuje niemądrze. Kim był przez cały dzień i przez cały tydzień, tym też pozostaje, gdy otwiera Biblię, aby przekazywać jej treść innym. Woda nie może podnieść się ponad swój własny poziom.

Nie zbiera się winogron z cierni ani fig z ostów. Owoc drzewa jest określony przez rodzaj drzewa, a owoc życia przez rodzaj życia. To, czym człowiek zajmuje się i co go absorbuje, określa i ujawnia, jakiego rodzaju człowiekiem on jest, zaś ukryte prawo duchowe powoduje, że rodzaj owocu, jaki on przynosi, odpowiada dokładnie temu, jakiego rodzaju jest on człowiekiem. Kłopot polega na tym, że często nie jesteśmy w stanie odkryć rzeczywistej jakości owocu, jaki przynosimy, dopóki nie jest za późno.

Jeśli w naszym życiu chrześcijańskim chcemy być realistyczni, nie możemy przeoczyć potężnej mocy powinowactwa. Przez powinowactwo rozumiem sympatię, atrakcję, pociąg, jakie pewne rzeczy i osoby wywierają na nas. Serce ludzkie jest niezwykle wrażliwe i posiada zdolność nawiązywania wewnętrznego stosunku z pewnymi oddalonymi i zakazanymi obiektami. Jak igła kompasu posiada powinowactwo z północnym biegunem magnetycznym, tak serce ludzkie może zachowywać związek wierności do ukrytego obiektu swojego upodobania, choć dzielą je od niego mile i lata. Co jest tym ulubionym obiektem można ustalić obserwując, jaki kierunek obierają nasze myśli, kiedy zostają zwolnione z ograniczeń narzuconych przez pracę czy studiowanie. O czym myślimy, kiedy możemy myśleć o czym chcemy? Jaki obiekt powoduje w nas wewnętrzne zadowolenie, kiedy zatapiamy się w myślach o nim? O czym marzymy w wolnych chwilach? Do czego ciągle na nowo wracają nasze myśli?

Jeśli szczerze odpowiemy na te pytania, będziemy wiedzieli, jakiego rodzaju ludźmi jesteśmy. Kiedy zaś stwierdzimy, jakimi jesteśmy, będziemy mogli wywnioskować, jakiego rodzaju owoc będziemy przynosić.

Jednym z utartych powiedzeń ewangelistów jest to, że prawdziwą wartość członka zboru ujawnia raczej jego życie w poniedziałek niż w niedzielę. Stwierdzenie to zawiera szczerą prawdę, toteż należy sobie gorąco życzyć, byśmy i my, którzy napominamy innych, żyli przez cały tydzień w takiej samej atmosferze świętości, jaką tak bardzo pragniemy odczuwać w sobie w dniu Pańskim.

O Mojżeszu czytamy, że „szedł przed oblicze Pana, by z Nim rozmawiać... a gdy wyszedł, mówił do synów izraelskich”. (2 Mojż.34,34). Taka jest norma biblijna, od której my odchodzimy z własną szkodą i z wieczną krzywdą dla ludzkich dusz. Żaden człowiek nie ma moralnego prawa wychodzenia przed lud, jeśli przedtem nie przebywał długo przed Panem. Nikt nie ma prawa mówienia do ludzi o Bogu, jeśli najpierw nie rozmawiał z Bogiem o ludziach. Prorok Boży powinien spędzać więcej czasu w zacisznym miejscu modląc się, niż spędzać go pośród ludzi głosząc im Słowo.

Jak nie możemy przeoczyć siły ludzkiego serca do tworzenia powinowactwa, tak nie możemy też ignorować ważności nastroju duchowego. Nastrój jest pogodą umysłu. Jest to wewnętrzny klimat i musi on być sprzyjający dla wzrostu duchowych łask, gdyż w przeciwnym wypadku nie mogą one rozwijać się w duszy. Chrześcijanin, który dzień po dniu pozwala na to, aby w jego sercu panował chłodny klimat, nie może oczekiwać zwisających dojrzałych winogron, kiedy przyjdzie mu stanąć przed klasą szkoły niedzielnej, przed chórem czy przed niedzielnym zgromadzeniem.

Jedna jaskółka nie tworzy wiosny ani jeden ciepły dzień lata i podobnie też kilka minut usilnej modlitwy przed nabożeństwem nie wyda delikatnych pączków ani nie spowoduje, że ziemia pokryje się kwiatami. Pole musi być zalane słońcem przez długi okres czasu zanim będzie mogło wydać swoje bogactwa. Serce chrześcijanina musi być zanurzone w modlitwie, zanim zacznie wyrastać prawdziwy owoc. Jak pole nauczyło się żyć w ścisłym, przyjaznym związku z deszczem i światłem słonecznym, tak i chrześcijanin musi nauczyć się żyć z Bogiem. Nie zdołamy w krótkim czasie odrobić długich zaniedbań swojego kontaktu z Bogiem i sprawami duchowymi.

Dzieci Boże żyją w środowisku, którym rządzą prawa równie obowiązujące i równie nienaruszalne, jak prawa natury. Bóg działa w zgodności z tymi prawami, lecz nigdy w sprzeczności z nimi. Nasz owoc będzie odpowiadał drzewu, na którym wyrósł, i żadne nasze zrywy modlitewne nie będą mogły temu przeszkodzić. Jeśli chcemy dokonywać świętych czynów, musimy być świętymi ludźmi każdego dnia i przez wszystkie dni, jakie Bóg tu w niskości nam daruje.

Zaniechajmy defensywy

W królestwie Bożym najpewniejszym sposobem, aby coś utracić, są wysiłki zatrzymania tego, a najlepszym sposobem zachowania czegoś jest wyrzeczenie się tego.

Prawo zatrzymania przez opuszczenie i utraty przez obronę objawił nasz Pan w szanowanym, lecz mało rozumianym stwierdzeniu: „Jeśli kto chce pójść za mną, niech się zaprze samego siebie i weźmie krzyż swój, i niech idzie za mną.” (Mat. 16, 24)

Tutaj widać uderzającą dysproporcję pomiędzy drogami Bożymi, a drogami ludzkimi. Kiedy świat usuwa swoje ręce od jakiejś drogocennej posiadłości, ktoś natychmiast łapie ją i znika. Dlatego świat, aby zachować to, co jego, musi stosować obronę. Więc ludzie gromadzą swoje skarby w schowkach, zamykają swoje posiadłości, chronią swoją dobrą opinię przy pomocy praw przeciwko zniesławieniu, barykadują się przy pomocy najróżniejszych urządzeń i strzegą swoich granic przy pomocy potężnych sił zbrojnych. To wszystko odbywa się zgodnie z filozofią starego Adama, która ma swoje źródło w jego upadłej naturze i znajduje potwierdzenie przez tysiące lat praktycznych doświadczeń. Wystąpić przeciwko temu oznacza ściągnąć na siebie pogardę ludzką. A jednak nasz Pan wystąpił przeciwko temu.

Aby wyrazić się ściśle - Chrystus nie potępił świata za to, że broni on swoich rzeczy. On odwrócił się od upadłego świata i mówił o zupełnie innym świecie, o świecie, w którym filozofia starego Adama jest nieprawomocna i w którym jego techniki są nieskuteczne. Mówił On o królestwie Bożym, którego prawa są całkiem przeciwne prawom królestwa człowieka.

Na długo przedtem zanim Chrystus wyłożył zasady duchowe obowiązujące w tym nowym królestwie, Bóg powiedział przez usta proroka: „...myśli moje to nie myśli wasze, a drogi wasze to nie drogi moje” (Iz. 55, 8), Chrystus zaś powiedział na innym miejscu: „...to, co u ludzi jest wyniosłe, obrzydliwością jest przed Bogiem.” (Łuk. 16, 15). Pomiędzy prawami duchowymi, a prawami społeczeństwa ludzkiego istnieje wielka przepaść. W Swojej mądrości Bóg porusza się po wysokiej drodze zgodnie ze Swoimi wiecznymi celami, zaś człowiek na swoich niskich drogach porusza się jak najlepiej potrafi, improwizując i plątając się, bez wyraźnego, ustalonego planu, myśląc, że wypadki jakoś potoczą się dobrze, lecz prawie zawsze doznając zawodu z nie spełnionych oczekiwań.

Prawdziwy chrześcijanin jest dzieckiem dwóch światów. Żyje pomiędzy upadłymi ludźmi, przejmuje wszystkie swoje wcześniejsze pomysły od nich i rozwija w sobie upadły pogląd na życie razem z wszystkimi innymi ludźmi od czasów Adama. Kiedy rodzi się na nowo i wchodzi w zakres nowego stworzenia, zostaje wezwany do tego, aby żyć według praw i zasad będących podstawą tego nowego królestwa, ale całe jego przygotowanie i myślenie pochodzi z tego starego. Dlatego może się okazać, o ile nie będzie on bardzo mądry i oddany w modlitwie, że próbuje żyć niebiańskim życiem według ziemskich wzorców. Taki właśnie stan nazwał Paweł życiem według ciała. Postępowanie w nowym życiu chrześcijańskim znajduje się pod wpływem automatycznych reakcji starego życia i wynikiem tego jest zamieszanie.

Na tym tle łatwo zrozumieć, dlaczego tak wielu chrześcijan instynktownie lgnie do swoich skarbów, broni swoich posiadłości i walczy o swoją dobrą opinię. Reagują oni zgodnie ze starymi wzorcami, których z natury trzymali się tak długo.

Wymaga prawdziwej wiary, by zacząć żyć prawdziwie życiem niebiańskim, będąc jeszcze tu na ziemi, gdyż potrzeba do tego oderwania się od prawa moralnego ciężenia, wzbicie się ponad nie i stosowania w codziennym życiu wielkiej mądrości Bożej. A ponieważ jest to mądrość sprzeczna z mądrością tego świata, doprowadzi to do konfliktu z nim. To jednak jest niską ceną do zapłacenia w porównaniu z nieocenionym przywilejem naśladowania Chrystusa.

Jest rzeczą bardzo istotną wzbic się na poziom Ducha i zaniechać samoobrony. Nie spotkałem nigdy zwycięskiego chrześcijanina, pozostającego w defensywie, natomiast spotkałem nie wiem ilu sfrustrowanych, zalęknionych, całkowicie nieszczęśliwych chrześcijan, którzy zużywali swoje siły na daremne próby obrony samych siebie. Te biedne, strapione dusze wyobrażają sobie, że ktoś bez przerwy usiłuje wyrządzić im coś złego. Rezultatem jest zmartwienie, urazy i pewien rodzaj chronicznej wrogości względem wszystkich, o których mają powód przypuszczać, że mogliby czymś naruszyć ich stan posiadania.

Moją poważną radą dla wszystkich takich nerwowych dusz jest, by przekazali wszystko Bogu i odpoczęli. Prawdziwy chrześcijanin nie potrzebuje bronić tego, co posiada, ani tego, kim jest. Bóg postara się o jedno i drugie. Przestań martwić się o swoje skarby, a Pan zachowa je dla ciebie aż do wieczności. Trzymaj je kurczowo, a one będą dla ciebie kłopotem i udręką do końca twoich dni.

Lepiej jest wyrzucić naszą niewielką posiadłość na cztery wiatry niż postarzyć się i zgorzknąć broniąc jej. Lepiej dać się oszukać kilka razy niż rozwinąć w sobie ustawiczne podejrzenie, że ktoś chce nas oszukać. Lepiej przeżyć włamanie do domu niż spędzić resztę dni i nocy siedząc z nabitą bronią i czekając na to. Wyrzeknij się tego, a zatrzymasz to. Walcz o to, a utracisz to. Takie jest prawo królestwa i odnosi się ono do każdej odrodzonej duszy. Możemy sobie pozwolić na to, by zaufać Bogu. Nie stać nas na to, by Mu nie ufać.

Słuchaj człowieka, który słucha Boga

Jeśli słuchając kazania zdołamy uchwycić choćby jeden tylko klejnot prawdy, możemy uważać się za wynagrodzonych za czas, jaki przy tym spędziliśmy.

Jeden z takich klejnotów został odkryty w pewnym kazaniu, którego kiedyś słuchałem. Z kazania tego odniosłem tylko jedno cenne zdanie, ale ono jest tak cenne, że żałuję, iż nie zapamiętałem, kto był wtedy kaznodzieją. Oto, co on powiedział: „Nie słuchajcie żadnego człowieka, który nie słucha Boga”.

W dowolnej grupie dziesięciu osób co najmniej dziewięć jest pewnych tego, że są zdolni do udzielania rad innym. A na żadnym innym polu ludzkich zainteresowań nie są ludzie tak gotowi do udzielania rad, jak w sprawach duchowych. Tymczasem właśnie na tym polu przeciętny człowiek jest zazwyczaj najmniej odpowiedni do udzielenia mądrej rady i najbardziej zdolny do wyrządzenia wielkich szkód przez swoje mówienie. Z tego powodu powinniśmy dobierać naszych doradców bardzo starannie. A dobór z konieczności zawiera w sobie także możliwość odrzucenia.

Dawid przestrzega przed radą bezbożnych, a historia biblijna daje przykłady ludzi, których życie zakończyło się klęską na skutek trzymania się złej rady. Na przykład Rechabeam usłuchał ludzi, którzy nie słuchali Boga, i w wyniku tego cała przyszłość Izraela ułożyła się bardzo niepomyślnie. Rada Achitofela była złą rzeczą, która powiększyła istotnie przestępstwo Absaloma.

Żaden człowiek nie ma prawa do udzielania rady, o ile przedtem nie usłyszał Bożej mowy. Nikt nie ma prawa radzić innym, nie będąc sam gotowy do słuchania i wypełniania rady Pańskiej. Prawdziwa mądrość duchowa musi być echem głosu Bożego. Jedynym bezpiecznym światłem na naszej drodze jest światło będące odbiciem światła Jezusa, który jest światłością świata.

Szczególnie ważne jest, aby młodzi ludzie nauczyli się, czyjej radzie można zaufać, ponieważ żyją oni na świecie stosunkowo krótko, nie zgromadzili jeszcze wystarczającego doświadczenia i dlatego muszą się oglądać za radą innych. I czy wiedzą o tym, czy też nie, codziennie przyjmują oni zdania innych i przywłaszczają je sobie, jako własne. Ci, którzy najgłośniej wychwalają swoją niezależność, przyjęli od kogoś myśl, że niezależność jest cnotą, i ich usiłowanie być niezależnymi jest po prostu wynikiem ulegania innym. Są takimi, jakimi są, na skutek rad, jakim dali posłuch.

Zasada słuchania tylko tych, którzy wpierw słuchali Boga, zachowa nas od niejednej pułapki. Wszystkie przedsięwzięcia religijne należy sprawdzać przy pomocy tej zasady. W tym okresie niezwyklej aktywności religijnej musimy zachować spokój i zrównoważenie. Zanim udamy się za jakimś człowiekiem, winniśmy szukać oleju na jego skroniach. Nie mamy żadnego duchowego obowiązku wspomaganie w działalności kogokolwiek, kto nie nosi na sobie śladów krzyża. Żadne apele do naszego współczucia, żadne dramatyczne relacje, żadne wstrząsające sceny nie powinny skłaniać nas do oddawania naszych pieniędzy ani naszego czasu na przedsięwzięcia, podejmowane i prowadzone przez ludzi, którzy są zbyt zajęci, żeby móc słyszeć Boga.

Bóg ciągle ma jeszcze wybranych przez Siebie ludzi, a oni są bez żadnych wyjątków dobrymi słuchaczami. Kiedy Bóg mówi, oni słyszą. Takich ludzi słuchać możemy z pełnym zaufaniem. Ale żadnych innych!

Modlitwa sługi Bożego

O Panie, usłyszałem Twój głos i ulękłem się. Powołałeś mnie do ciężkiej służby w trudnej i niebezpiecznej godzinie. Ty zamierzasz wstrząsnąć wszystkimi narodami, a także ziemią i niebem, aby ostały się te rzeczy, którymi wstrząsnąć nie można. O Panie, mój Panie, Tobie upodobało się uczcić mnie przez powołanie za Twojego sługę. Nikt nie może przywłaszczyć sobie tego zaszczytu, jak tylko ten, kto został powołany przez Boga jak Aaron. Ustanowiłeś mnie swoim posłańcem do tych, którzy są opornego serca i głuchych uszu. Odrzucili oni Ciebie - Mistrza, i nie można oczekiwać, by przyjęli mnie - sługę.

Boże mój, nie chcę tracić czasu na wyznawanie mojej słabości i niezdolności do tej pracy. Odpowiedzialność nie spoczywa na mnie, lecz na Tobie. Ty powiedziałeś: „Wybrałem cię - poświęciłem Cię - przeznaczyłem Cię”. Ty powiedziałeś także: „Do kogokolwiek cię pošlę, pójdziesz i będziesz mówił wszystko, co ci rozkażę”. Kimże jestem, aby spierać się z Tobą lub podważać Twój suwerenny wybór? Decyzja jest nie moja, lecz Twoja. Niech więc tak będzie, Panie. Niech się wszystko dzieje nie według mojej, lecz według Twojej woli. Wiem o tym dobrze, Boże proroków i apostołów, że dopóki ja będę czcił Ciebie, Ty będziesz czcił mnie. Dopomóż mi przeto złożyć ten ślub oddawania Tobie czci w całym moim przyszłym życiu i pracy, czy to przez zysk czy przez stratę, przez życie czy przez śmierć, a potem wypełniać ten ślub nieznuzenie, dopóki żyć będę.

O Boże, jest czas wykonywania Twojej pracy, gdyż nieprzyjaciel wszedł na Twoje pastwiska i owce są rozrywane i rozproszone. Liczni są fałszywi pasterze, którzy nie widzą niebezpieczeństwa i śmieją się z zasadzek, jakie otaczają Twoje stado. Owce zostają zwiedzione przez tych najemników i idą za nimi z wzruszającą lojalnością, podczas gdy wilk zbliża się, aby zabijać i niszczyć. Błagam Cię, daruj mi ostry wzrok, by móc wykrywać obecność nieprzyjaciela; daj mi zrozumienie tego, co zobaczę, i odwagę wiernego przekazywania tego, co ujrzę. Uczyni mój głos tak podobnym do Twojego, by nawet chore owce rozpoznały go i szły za Tobą.

Panie Jezu, przychodzę do Ciebie, abys przygotował mnie duchowo. Połóż na mnie Swoją rękę. Namaść mnie olejkim nowotestamentowego proroka. Nie dopuść, bym stał się religijnym uczonym w Piśmie i utracił przez to moje prorockie powołanie. Zachowaj mnie od przekleństwa, które leży ciemną zasłoną na obliczu nowoczesnego duchowieństwa: przekleństwa kompromisu, imitacji i profesjonalizmu. Strzeż mnie od błędu oceniania zboru na podstawie jego wielkości, jego popularności albo sumy zbieranych w nim ofiar pieniężnych. Dopomóż mi pamiętać o tym, że jestem prorokiem. Nie organizatorem, nie religijnym człowiekiem interesu, lecz prorokiem. Nie dopuść nigdy, bym stał się niewolnikiem tłumu. Uzdrów mą duszę z cielesnych ambicji i wyzwól mnie od żądzy popularności. Zachowaj mnie od przywiązania do jakichkolwiek rzeczy. Nie dozwól, bym marnował dni krzątaniem się wokół domu. O Boże, włóż na mnie bojaźń przed Tobą i ciągnij mnie do miejsca modlitwy, gdzie będę mógł zmagać się z władzami, zwierzchnościami i władcami tego świata ciemności. Wyzwól mnie od przejadania się i długiego spania. Ucz mnie samodyscypliny, bym mógł być dobrym żołnierzem Jezusa Chrystusa.

Zgadzam się na ciężką pracę i skromne wynagrodzenie w tym życiu. Nie proszę o wygodne miejsce. Będę starał się być ślepy na te różne sposoby ułatwiania sobie życia. Jeśli inni usiłują obierać równiejszą drogę, ja będę starał się iść po wyboistej, nie osądzając ich zbyt surowo. Będę oczekiwał przeciwności i przyjmę spokojnie opozycję, kiedy się pojawi. A jeśli Twoi mili ludzie nakłonią mnie do przyjęcia od nich darów wdzięczności, co czasem zdarza się Twoim sługom, to stój wtedy przy mnie i zachowaj mnie od zgubnego wpływu, który często następuje. Ucz mnie używać wszystkiego, co otrzymam, w taki sposób, by nie zaszkodzić mojej duszy i nie umniejszać mojej siły duchowej. A jeśli w Swojej opatrności dozwolisz, by Twój Kościół okazał mi szacunek, nie pozwól mi zapomnieć w tej godzinie, że jestem niegodny najmniejszej z Twoich łask i że gdyby ludzie znali mnie tak dokładnie, jak ja samego siebie, powstrzymałoby się od wyrazów uznania lub obdarzyliby nimi innych, bardziej godnych ich przyjęcia.

Teraz więc, o Panie nieba i ziemi, moje pozostałe dni poświęcam dla Ciebie, czy będzie ich wiele, czy mało, według Twojej woli. Dopuść mi stawać przed wielkimi albo służyć ubogim i małym - ten wybór nie należy do mnie i choćbym mógł, nie będę na to wpływać. Jestem Twoim sługą, gotowym do spełniania Twojej woli. Wola ta jest mi słodsza od stanowiska, bogactwa i sławy, i obieram ją ponad wszystko inne na ziemi i na niebie.

Chociaż mnie wybrałeś i uczciłeś mnie wysokim i świętym powołaniem, nie pozwól mi nigdy zapomnieć, że jestem tylko człowiekiem z prochu i popiołu, człowiekiem z wszystkimi naturalnymi wadami i skłonnościami, jakie nękają rodzaj ludzki. Dlatego proszę Cię, Panie mój i Odkupicielu, zachowaj mnie przed samym sobą i przed wszelkimi szkodami, jakie mógłbym wyrządzić, chcąc być błogosławieństwem dla innych. Napełń mnie Twoją mocą przez Ducha Świętego, a ja pójdę w Twojej sile i opowiadać będę Twoją sprawiedliwość - Twoją jedynie. Będę rozgłaszał wszędzie poselstwo o zbawiennej miłości, dopóki starczy mi sił.

Potem zaś, drogi Panie, kiedy będę stary i wyczerpany, zbyt znużony, aby iść dalej, wyznacz mi miejsce, zgotowane dla mnie w górze, i włącz mnie w poczet Twoich świętych w wieczystej chwale. Amen.

O skuteczności modlitwy

Obecnie organizuje się wiele spotkań modlitewnych. Nic dziwnego, ponieważ istnieje mnóstwo potrzeb. Z moich obserwacji (jeżeli są trafne), wyciągam wnioski, iż marnuje się wiele wysiłku. Spotkania te przynoszą bowiem bardzo małe rezultaty. Powodem tego są niewłaściwe motywacje.

Zbyt wielu modlących się ludzi dąży do wykorzystania modlitwy jako środka realizującego cele, które nie są całkiem właściwe. Modlitwa często jest uważana za coś niewiele większego niż technika awansu: niebiańska metoda zdobywania sukcesu ziemskiego. Obecnie każdy indywidualny projekt religijny staje się tematem modlitwy. Niektóre z nich są niebiblijne, inne zaś „nadmierzają biblijne”. Motywem wielu modlitw jest zwolnienie inspiratora z nieprzyjemnego obowiązku zarabiania środków do życia i umożliwienie mu bujania po świecie na koszt świętych. Może on rozsyłać listy, błagając o modlitwy ludu Bożego, organizować bardzo długie spotkania modlitewne, starając się zdobyć błogosławieństwa Boże na dzieło, które nie jest Bożym i którego Bóg nie rozpoczął.

Pismo Święte mówi bardzo wyraźnie o modlitwie i miejscu, jakie zajmuje w strukturze Bożej.

Modlitwa praktykowana była przez każdego wierzącego, począwszy od sprawiedliwego Abla aż do Jana - autora Apokalipsy. Była też głównym tchnieniem Kościoła w czasie jego zmagania na ziemi przez wiele wieków. Artykuł ten nie dotyczy zatem modlitwy rozumianej prawidłowo, ale modlitwy pojętej i zastosowanej niewłaściwie.

Pismo Święte wyraźnie mówi o mocy modlitwy. „Wiele może usilna modlitwa sprawiedliwego” - napisał Jakub z natchnienia. Cała Biblia i doświadczenie chrześcijan potwierdza fakt, że modlitwa jest skuteczna. Kiedy nie otrzymamy na nią odpowiedzi, to coś jest nie w porządku. Ten sam apostoł, który potwierdził efektywność modlitwy, wyznaje również, że modlitwa może też czasami nie przynieść żadnego efektu: „Proście, a nie otrzymujecie dlatego, że źle proście, zamyślając to zużyć na zaspokojenie swoich namiętności.”

Pomimo tych trudności związanych z modlitwą jest ona najwyższą czynnością, w jakiej ludzka istota może się zaangażować. Wiedząc wszystko o modlitwie i o ludziach, nasz Pan powiedział: „Powinni zawsze się modlić i nie ustawać.”

Przyczyny niepowodzeń

Podjęmę się wysiłku ujawnienia przyczyn naszego ubóstwa w modlitwach nie po to, aby zniechęcić nas do modlitw, ale po to, aby zauważyć powody nieefektywnego modlenia się i wyeliminować je. Zawzięte kontynuowanie modlitw nie jest zaletą, jeżeli istnieją czynniki, które sprawiają, że nasze modlitwy są nieefektywne. Powinniśmy modlić się nieustannie, ale musimy to czynić prawidłowo, aby nasze modlitwy nie były bezowocne.

Wystarczy tylko przysłuchać się przeciętnej modlitwie, aby zauważyć, co jest nieprawidłowe. Nawet na szczególnych spotkaniach modlitewnych, gdzie wydawałoby się, że znajdują się najpobożniejsi ludzie, wiele modlitw jest niczym innym, jak tylko pobożnym monologiem relacjonującym aktualności. Są one raczej podyktowane dziennikiem radiowym, niż inspiracją Ducha Świętego. Przykrywają wówczas ziemię jak chmury bez deszczu; obiecują dużo, dają jednak mało. Aby mieć efekty w modlitwie, musimy chcieć to, co Bóg chce. Wtedy i tylko wtedy modlimy się według woli Bożej. Nie ma takiej prośby, która byłaby niezrealizowana, jeżeli jest zgodna z wolą Bożą. „Taka zaś jest ufność, jaką mamy do Niego, iż jeżeli prosimy o coś według Jego woli, wysłuchuje nas. A jeżeli wiemy, że nas wysłuchuje, o co Go prosimy, wiemy też, że otrzymaliśmy już od Niego to, o co prosiliśmy.” (1 Jan 5,14.15). Bóg, który dominuje nad światem i jego historią, z pewnością wie, jak się wszystko układa. On również wie, co jest ważne i jeżeli jesteśmy na tyle duchowi, że słyszymy Jego głos, to wtedy On nada kierunek naszym modlitwom, aby przyniosły efekt.

Przez kilka lat wzrasta we mnie przekonanie, iż sytuacja na świecie (tak, jak Bóg to widzi) wskazuje na dwie główne rzeczy, które mogą być zdobyte przez modlących się ludzi, dwa cele, na które powinniśmy kierować nasze modlitwy.

Jednym z nich jest uwidocznienie chwały Bożej wśród ludzi, a drugim uwolnienie Kościoła z współczesnej niewoli babilońskiej.

Od kilku pokoleń świat ewangelicznych chrześcijan budowany jest na wieściach. Z nostalgią spoglądamy wstecz na naszych ojców, którzy mieli z Bogiem olśniewające i zadawalające spotkania. Chętnie powołujemy się na nich i próbujemy wyciągnąć tyle duchowego pokarmu z poznania Najwyższego, który objawiał się kiedyś, ile tylko potrafimy. Zamyślamy się nad świadectwami objawienia się Boga takim mężom jak Abraham, Jakub, Mojżesz, Izajasz. Z tęsknotą w sercach czytamy, jak kiedyś „zatrzęsło się miejsce, na którym byli zebrani i napełnieni zostali wszyscy Duchem Świętym, i głosili z odwagą Słowo Boże”. Czytamy opowiadania z życia Edwardsa i Finney'a, a nasze serca tęsknią, by ponownie widzieć jaśniejącą moc chwały Bożej.

Nasze obowiązki

Wierzę, że ciąży na nas prawdziwy obowiązek duchowy, aby modlić się efektywnie dopóty, dopóki obecna zasłona nie będzie rozerwana i ludzie wierzący ponownie nie ujrzą twarzy Boga. Drugim celem naszych modlitw powinno być odnowienie duchowego życia Kościoła. Musimy wciąż modlić się, aby zaprzestał on haniebnie cudzożyć ze światem i wrócił do swojej pierwszej miłości i swojego prawdziwego Pana. Standard jego życia został zdegenerowany, „poszedł na dno”. Nic innego nie może go ocalić, jak tylko radykalna reformacja. Jedynie ci, których oczy są pomazane, mogą widzieć położenie Kościoła i ci, których serca wypełnione są Duchem Świętym, mogą skutecznie wstawiać się za nim w modlitwach. A teraz, nawet jeżeli będziemy się koncentrować na tych zasadniczo ważnych rzeczach, to wciąż istnieje wielkie niebezpieczeństwo, by prosić źle i zdobyć bardzo mało, jak również całkowicie się rozczarować. Dlaczego?

Problemem jest samolubstwo, które nigdzie nie jest tak „znakomicie” egoistyczne, jak na kolanach. Samolubstwo wykorzystał wąż w ogrodzie Eden, o samolubstwie świadczy złota sztaba w namiocie Achana. To czyni każdą modlitwę bezskuteczną, dopóki nie jest zidentyfikowane i odrzucone. Samolubstwo obraca czystą i pełnomocną modlitwę w słabą i bezskuteczną. Na przykład mogę żarliwie modlić się, aby chwała Boża objawiła się w moim pokoleniu, a całą rzecz zniszczyć tajoną nadzieją, że ja stanę się jednym z tych, przez których On ją objawi.

Mogę głośno wołać do Boga, aby Jego Kościół przywrócony był do nowotestamentowej okazałości, a po cichu marzyć, abym był tym, który go w tym poprowadzi. Wówczas blokuję pracę Ducha Świętego swoimi nieczystymi motywami. Moje skryte pragnienie, by być częścią tej chwały, przeszkodzi Bogu w wysłuchaniu mojej modlitwy.

Samolubstwo całkiem bezwstydnie idzie za mną do ołtarza, klęka razem ze mną i niszczy moją modlitwę, zanim jest jeszcze wypowiedziana.

Możemy pragnąć, aby mury Jeruzalemu odbudowano, jak również chcieć być znanym jak Nehemiasz, który je odbudował. Możemy chcieć pokonać proroków Baala, jak również marzyć o tym, by być Eliaszem, który stoi na górze i w dramatyczny sposób ściąga ogień na oczach całego świata. Moje mocne pragnienie nowej reformacji wewnątrz Kościoła może być udaremnione przez ciche pragnienie, abym był znany jako drugi Luter.

Czy kiedykolwiek modliłeś się, aby armie Pana mogły wygrać potężną walkę przeciwko ciału i diabłu, a przyłapałeś się na tym, iż marzyłeś o jeździe w otwartym samochodzie, podczas gdy wdzięczny Kościół zainscenizuje uroczyste powitanie powracających bohaterów?

Jeżeli jesteś usługującym, czy kiedykolwiek marzyłeś o „morzu” żądnych twarzy, chciwie łowiących każde twoje słowo?

Jeżeli jesteś biznesmenem chrześcijańskim, czy kiedykolwiek pozwoliłeś błędzić swoim myślom, wyobrażając sobie potężne modlitwy o sukces w interesach, dramatyczne odpowiedzi,

wspaniałe świadectwo, być może nawet książkę, która by o tym mówiła, ze swoim zdjęciem na okładce?

Jeżeli tak, to wiesz, co to znaczy być uderzonym tam, gdzie najbardziej boli; wiesz, co to znaczy być zaatakowanym, kiedy jesteś najbardziej bezbronny.

Zbyt często modlimy się za właściwymi rzeczami, lecz oczekujemy odpowiedzi, mając niewłaściwe motywy; jednym z nich jest pragnienie zdobycia reputacji wśród świętych. Długo po tym, kiedy wszelka nadzieja znalezienia się na okładce czasopisma „Time” (Czas) znikła z naszych serc, możemy wciąż żywić nie wyznane pragnienie dostania się na okładkę gazety „Christian Life” (Chrześcijańskie życie). Zatem, jeżeli świat nie doceni naszej rzetelnej wartości, zrobi to Kościół.

Skoro nie możemy cieszyć się reputacją wielkiego męża stanu, czy aktora lub piłkarza, to wówczas będziemy chcieli zdobyć reputację niezwykłego chrześcijanina. Jest to równoznaczne z pożądaniem mięsa zamiast manny, czego rezultatem może być ubóstwo naszych dusz.